NO…

ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 1. DNIA 7 STYCZNIA 1933 ROKU

NA FRONCIE POLSKIM BEZ ZMIANY



— Chciałem wyjść na miasto — ale się boję — jakiś ciągły ruch!
— E to tak jeden za drugim biega — żeby gdzie złapać trochę gotówk…

Rysunek i podpis Franc… …ewskiego — przed półwieku

TREŚĆ:

Wśród artystów niemieckich



— Nawet jeśli, wydział sztuki zostanie w Ministerstwie Oświaty całkiem skasowany, nie trzeba tracić nadziei. Może uzyskamy wkrótce cesarza, który będzie chciał być portretowanym. — I zawsze będzie wybierał najgorszych malarzy!

(Simplicissimus)

W noc Sylwestrową



— Cóż to ma znaczyć?
— Położono świeże białe prześcieradło na moje łóżko!



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 7-go STYCZNIA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 1 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

Językowe zbliżenie Słowian

Doniosłe to zagadnienie ukazuje się już na terenie prac filologów i slawistów. Sądzimy, że powinny się niem zainteresować szersze sfery naszej inteligencji. Dlatego dajemy głos p. Stanisławowi Arctowi, prezesowi Pol. Tow. Wydawców, celem przedstawienia gospodarczego, politycznego i ogólno-kulturalnego znaczenia tej sprawy.

Ostatnia uchwała Akademji Umiejętności, dotycząca „drobniejszych“ poprawek i ułatwień w ortografji polskiej, wprowadziła znowu chaos do tej dziedziny. „Drobne“ poprawki Akademji są rzeczywiście drobne, polegają bowiem na ułatwieniu przenoszenia wyrazów, na pewnych zmianach w pisowni przystawek, oraz w pisaniu łącznie i rozłącznie. Ale właśnie, że się nie wprowadza zasadniczej i gruntownej poprawy pisowni, jest groźna. Tembardziej, że wogóle z ortografją u nas jest niedobrze i prawie wszyscy piszemy z błędami. Nic dziwnego, bo od lat kilkudziesięciu ciągle tylko zmieniamy, poprawiamy i ulepszamy, i żadne pokolenie nie miało czasu do gruntownego zwyczajowego opanowania i zasymilowania jednolitych zasad pisownianych.

Teraz wyobraźmy sobie te zmiany pisowni w skutkach ekonomicznych. Obecne zmiany, chociaż t. zw. „drobne“, zmuszą do wycofania wszystkich obecnych słowników ortograficznych, przerobienia ich gruntownie, gdyż prawie każdy wyraz ma oznaczony podział na zgłoski, ew. na części do przeniesienia do następnego wiersza, a to przecież uległo „ułatwiającym“ przeróbkom.

Dalszą trudność powodują encyklopedje i słowniki encyklopedyczne, których wydanie rozkładane jest na długie nieraz okresy; opracowanie np. Wielkiej Encyklopedji trwa do tej pory, choć zaczęło się 40 lat temu. Jeżeli chodzi o dzieła ściśle encyklopedyczne, to pisownia różniąca się od ostatnio wprowadzonej jest jeszcze dopuszczalna: w takiej encyklopedji szuka się informacyj i wiadomości rzeczowych i nie zwraca się uwagi, jaką ortografją są podane. Natomiast jeżeli chodzi o słowniki takie, jak M. Arcta „Słownik Języka Polskiego“, wydawnictwa w rodzaju „Petit Larousse“, „Webster, Funk — Wagnall“ — to muszą one być koniecznie dostosowane do ostatniej pisowni, gdyż są nietylko sprawdzianami znaczenia wyrazów, ale i tego, jak się te wyrazy piszą.

Otóż takie wszystkie encyklopedje, słowniki i t. p. są wydawnictwami bardzo kosztownemi, opłacającemi się tylko przy dużym nakładzie. Pierwsze wydanie jest zwykle drogie, dopiero dalsze reprodukowanie sposobami mechanicznemi, bez kosztów redakcyjnych i składu zecerskiego, może być tańsze i dostępne szerokim warstwom. Zmiany pisowni zmuszają do przeróbki, trzeba dzieło na nowo opracowywać, składać, co wszystko podraża niepomiernie książkę.

Weźmiemy teraz drugą stronę tej sprawy — człowieka. Uczeń w szkole ma w tej chwili do dyspozycji książki pisane w czterech rozmaitych sposobach — niektóre

przedwojenne (pisownia warszawska Kryńskiego, przedwojenna pisownia Akademji), inne powojenne — Akademji z r. 1918 i z r. 1932, nie licząc drobniejszych odmian ortograficznych. Jak ten uczeń ma się w tem zorjentować?

Dalej są zecerzy, którzy składają książki, i korektorzy, który skład ten poprawiają. Jedni i drudzy ciągle się muszą uczyć i trzeba na to masę czasu, a niewielu dochodzi do doskonałości.

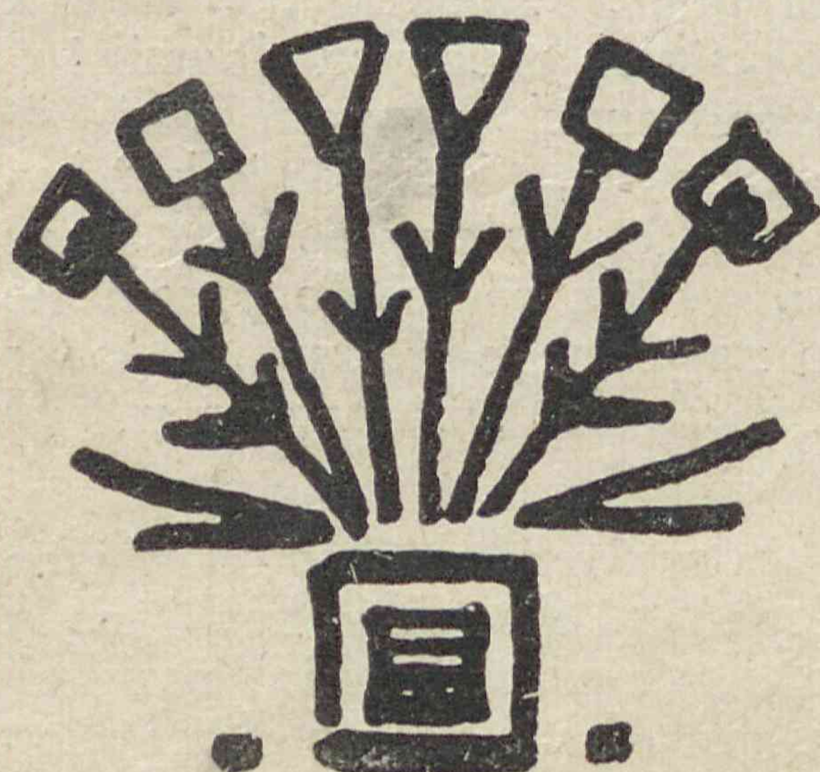
Jeżeli nowa pisownia będzie zatwierdzona przez Min. W. R. i O. P. do użytku w szkołach, to olbrzymia ilość książek pójdzie na makulaturę, a jeszcze większa ilość matryc, stereotypów, kamieni litograficznych i t. d. będzie do niczego. Straty, które ponieśliby z tego powodu księgarze i wydawcy, sięgają kilkudziesięciu miljonów złotych. Nic więc dziwnego, że Polskie Tow. Wydawców jaknajenergiczniej przeciwstawia się wszelkim częstym a niekompletnym zmianom ortografji.

Od paru lat zajmuje się ono jeszcze inną ważną sprawą pisownianą: rozszerzeniem rynku zbytu książki polskiej i wogóle książki słowiańskiej. W roku 1932 miał się odbyć w Warszawie zjazd wydawców i księgarzy słowiańskich: jednym z punktów programu był projekt wprowadzenia ogólnosłowiańskiej transliteracji języka polskiego i innych ułatwień językowych dla wspólnego porozumiewania się Słowian. Z powodów ogólno-kryzysowych zjazd do skutku nie doszedł, ale znalazł się w międzyczasie człowiek energiczny, prof. Cieszyński ze Lwowa, który w porozumieniu z czeskimi uczonymi wydaje czasopismo „Stomatologję słowiańską" we Lwowie i w Pradze czeskiej, pisaną specjalną transkrypcją, opracowaną przez niego wspólnie z prof. Taszyckim i dr. Batowskim.

Pisownia ta jest pierwszą próbą transkrypcji zrozumiałej dla ogółu słowiańskiego. Polacy zrezygnowali z pewnych naszych właściwości pisowni, mianowicie odrzucili cz, sz, rz, wprowadzając zamiast tego č, š, ř; zamiast w, używa się v, które w języku polskim ma ten sam dźwięk; znaki właściwe specjalnie językowi polskiemu jak ą, ę, ć, ś, ł — pozostają. Natomiast Czesi zgodzili się zrezygnować ze swych wszystkich znaczków nad samogłoskami: ze swego u, przyjmując nasze ó, i z n, przyjmując polskie ń. Czyta się tę edycję — tak polską jak czeską — bardzo łatwo.

Mamy około 50 miljonów Słowian, piszących alfabetem łacińskim, i około 150 milj. piszących alfabetem rosyjskim. O ile wiadomości są prawdziwe, to w Bolszewji zastanawiają się poważnie nad wprowadzeniem alfabetu łacińskiego, stopniowo, jako drugorzędnego. Ze względów propagandowych na Słowiańszczyznę część książek, głównie naukowych, miałaby być drukowana w alfabecie łacińskim, przyczem w transkrypcji czeskiej. Grozi to nam zupełnem zizolowaniem języka polskiego od wszystkich języków słowiańskich, ponieważ transkrypcja chorwacka, słowacka, łużycka, czeska są bardzo zbliżone do siebie.

Jeżeli do tego dojdzie, Polska zostanie poza nawiasem Słowiańszczyzny. Na świecie w tej chwili dąży się bardzo silnie do unifikacji językowej, narody germańskie pracują nad wspólnym językiem, złożonym z pierwiastków północnych: skandynawskich, czysto niemieckich, holenderskich, oraz szwajcarskich. Włosi tworzą język, któryby im umożliwił porozumienie z narodami romańskiemi. Anglosasi tego nie potrzebują: mają swój język angielski, którym mówi ćwierć miljarda ludzi, jeżeli zaś potraktować, jako odmianę języka angielskiego, „pidgin", znany na całym wschodzie, to się okaże, że z językiem tym ma do czynienia czwarta część mieszkańców kuli ziemskiej. Anglicy więc uważają, że język angielski jest tym, który powinien zapanować nad światem. Do tego jeden z Anglików wymyślił „basic english", który jeszcze znacznie powiększy ekspansję angielszczyzny zasady jego są bardzo ciekawe. Podstawą „basic english" jest nie nowy język, tylko zgromadzenie takiej ilości wyrazów w języku angielskim, wytworzenie takich reguł operowania tym językiem, żeby przedstawiał dla cudzoziemca możność nauczenia się w najkrótszym czasie i aby posiadanie tych 850 — 1000 wyrazów dawało możność porozumienia się na gruncie naukowym, podróżniczym i praktycznym. Zapomocą tych wyrazów i odpowiednich ich odmian napisano już szereg książek do czytania i metod nauki. Basic English — jest to trzon języka, który może każdy opanować, a jeżeli kto chce dalej pracować, to rozszerzanie swych wiadomości językowych i poznanie właściwego języka nie jest już trudne



Jeżeli narody, liczące dziesiątki miljonów ludzi już używających ich języka, dążą do ułatwienia jego ekspansji, to czy nie jest to tembardziej potrzebne Polakom, których nie jest tak dużo, gdzie prace naukowe, żeby mogły się rozchodzić po całym świecie, muszą być tłumaczone na inne języki. Czy nie należy zdobyć choć rynku słowiańskiego? A jeżeli Rosja wprowadzi częściowo alfabet łaciński, to i ona stanie otworem dla wytworów ducha polskiego.

Jak powiedział Brückner: „brzmienie jest rzeczą zasadniczą"; otóż brzmienie w językach południowo-zachodnio-słowiańskich jest najczęściej bardzo podobne. Różnice w brzmieniu są minimalne, nie większe, niż pomiędzy wymową kaszuba i mazura. Kwestja znaczenia też nie jest trudna: mamy naprzykład trzy wyrazy na określenie wzniesienia gruntu: wzgórze, grzbiet i wierch. Dlaczego w tym wypadku nie użyć słowa „wierch". Jest wprawdzie pewna ilość wyrazów o odmiennem znaczeniu i brzmieniu, lub jeszcze gorzej, o tem samem brzmieniu, a innem znaczeniu. Można jednak wiele tych wyrazów wyeliminować, bez większych trudności. Jeżelibyśmy zaprosili znawców i fachowych slawistów do tej pracy, to w ciągu paru lat możnaby te sprawy uregulować i kisążki pisane tym uproszczonym polskim językiem (basic polish), a drukowane w odpowiedniej transliteracji (pisowni) mogłyby iść na całą Słowiańszczyznę z dodaniem jedynie maleńkich słowników po jakie 400 wyrazów.

Jeżeliby to samo zrobili Czesi, Chorwaci i inni, powstałyby w każdym języku słowiańskim uproszczone słowozbiory, zrozumiałe dla wszystkich innych Słowian. Takie posunięcia językowe mogą dać szerszą podstawę i trwalszą spójnię w pracach nad rozwojem nauki i kulturalnego zbliżenia Słowian, aniżeli jakiekolwiek polityczne zabiegi i działania.

Stanisław Arct

NOWY ROK NA ZAMKU WARSZAWSKIM



P. Prezydent Rzeczypospolitej odpowiada na życzenia, złożone w imieniu korpusu dyplomatycznego przez Mgr. Marmaggi'ego, nuncjusza apostolskiego w Warszawie



Tam wśród dzikusów

Przed rokiem zamieściliśmy serję opisów podróżniczo-myśliwskich z Afryki Centralnej p. Wojciecha Marylskiego p.t. „Od Oceanu do Oceanu". Wzbudziły one wielkie zainteresowanie czytelników zarówno niezwykłością przygód, jak i żywością stylu. Obecnie rozpoczynamy druk drugiej części jego wspomnień afrykańskich

O ile dotychczas w mych wędrówkach przez Czarny Ląd spotykałem wszędzie przychylnie do mnie odnoszących się czarnych, o tyle w Kamerunie i Nigerai zastałem zgoła odmienne nastroje czarnych, tak że częstokroć tylko obawa przed precyzyjną bronią palną, która w rękach białego człowieka siać może spustoszenie, trzymała w respekcie rozpasane hordy wojowniczych i hardych negrów, nienawidzących w duchu każdego białego.

Jest w tem duża wina polityki Francji, której rząd nadał czarnym tytuł obywatelstwa, co zupełnie przewróciło w głowach tych prymitywnych istot. I tak naprzykład burmistrzem miasta Dakaru jest, a przynajmniej był podczas mego tam pobytu, murzyn, niejaki Gomez, kawaler orderu Legji honorowej. Pozatem moc klerków t. j. urzędników państwowych, piastujących dość wysokie stanowiska w administracji kolonjalnej, należy do rasy czarnej, względnie „café au lait", t. j. mieszańców, gdyż przyjętem jest, iż dzieci, zrodzone z nielegalnych związków białych z murzynkami, oddawane są na wychowanie do misjonarzy, którzy dają im dość staranne wykształcenie, kierując na posady rządowe. Gdzież więc jest poczucie godności osobistej białego człowieka, gdzie jest „prestige" — jedyna moralna ściana, która przedziela te dwie rasy i chroni białych od zalewu przez czarne pospólstwo.

Poza cywilnymi urzędnikami, duży procent murzynów służy w szeregach wojsk kolonjalnych, a długoletnie przebywanie tych ludzi w Europie demoralizuje ich, ułatwiając nabycie wszelkich cech i instynktów najniższych, któremi każda prymitywna natura łatwo nasiąka.

Po spalonej straszliwem tropikalnem słońcem sawanie z wielkim wysiłkiem ciągnie moja maszyna, nadprogramowo obładowana nadmierną ilością benzyny, w którą zaprowiantowałem się w Bangui. Są to 4 „tuki" [1]) po 50 litrów każda. Myślę, że z tym zapasem dopcham się do Janude, gdzie podobno czasami można dostać benzyny u pewnego greka, który tam ma faktorję. Wiozę około półtorej tonny wszelakiego bagażu, przeważnie trofei myśliwskich, jako to: kość słoniową, rogi bawołów, antylop, gazelli, kły hypopotamów i fakoszerów, parę czaszek lampartów, wielkich małp, skóry przeróżnych zwierząt, murzyńskie wyroby z kości i hebanu, całkowity ekwipunek osobisty i kuchenny, broń i amunicję oraz trochę zapasów żywności na drogę. To też resory są całkowicie „a plat", tak że spód karoserji ociera się o wyboje i nierówności drogi. Drżę na myśl samą o możliwości uszkodzeń, nie posiadam bowiem najdrobniejszej części zamiennej do motoru i reszty podwozia, a jechać mogę tylko dniem, gdyż akumulator dawno zużyty wyrzuciłem, jako niepotrzebny balast, zaś jako całe oświetlenie posiadam 2 latarnie naftowe typu stajennego.

Około południa zjeżdżam z impetem ze sporego stromego wzgórza wprost w grzązkie trawą porosłe bajoro, rodzaj ruchomego trzęsawiska, które z odległości wyglądało na bardzo solidny teren. O hamowaniu nie było mowy, bo taśmy hamulcowe, dawno już zużyte, skończyły się bezpowrotnie. To też miękko i bezszelestnie powyżej osi siedzę solidnie w trzęsawisku, z filozoficznym spokojem wsłuchując się w złowróżbne bulgotanie wokoło siebie.

Żeby tak mieć moich dawnych negrów pod dowództwem zacnego Izydora w nieodstępnej swojej kamizelce od smokinga! Wnet wyciągnęliby mnie z tej opresji.—Niestety! pozostało mi po nich tylko wspomnienie. Moi dwaj boy'e, uzbrojeni w siekierki, poszli narąbać faszyny, aby umożliwić mi dostanie się na suchsze miejsce. Wziąwszy sztucer i busolę, ruszamy w trawy wysokie, a boy'om każę iść przed siebie, aby znaleźć wioskę murzyńską, skąd możnaby dostać ludzi do pomocy. Przedtem, na związanych lianą dwóch długich żerdziach, zawieszam kawał białej szmaty, aby nie stracić kierunku w powrotnej drodze.

Po godzinnem deptaniu spotykam pod wiatr pasące się stado „waterbuck". Jest to jedna z największych antylop podzwrotnikowej Afryki. Podchodzę je bardzo blisko. Mają piękne harmonijnie wygięte rogi. Wyładowywuję na nie cały magazyn; dwie sztuki rulują w ogniu, trzecia, markując wyraźnie strzał na wątrobę, wolno zasuwa się w gąszcz nie do przebycia. Znów naznaczam miejsce, gdzie leżą sztuki ubitej zwierzyny, zawieszoną na długich żerdziach szmatą i wolno wracam w kierunku, gdzie na miękkiem i ciepłem błotku spoczywa mój wierny Dodge.

Dopiero nad wieczorem nadeszli obaj czarni z nosami na kwintę, oznajmiając, że „król" ludzi dać nie chce, twierdząc, że Wielki Duch białych powinien pomódz białemu podróżnikowi w wydostaniu się z opresji. Nie było rady, noc zapada, więc przy świetle ogniska rozbiłem obóz na suchem miejscu i zabrałem się do sporządzenia kolacji. Niewesoły to był biwak; — takiej ilości moskitów, jak w pobliżu tego przeklętego bajora, nigdy nie spotkałem. Poprostu garściami gniotłem w powietrzu na miazgę setki tych dokuczliwych owadów. Z powodu szybko zapadającej nocy nie było możliwem udać się po zabite antylopy, to też nie upłynęła godzina, gdy zdala zaczęły dolatywać głosy szakali i hyen, ucztujących przy mojej zdobyczy.

Spędziłem fatalną noc, co na humor mój wpłynęło bardzo źle. To też nazajutrz, skoro świt, wysłałem

[1]) tuka czyli bańka.



AUTOR NINIEJSZYCH WSPOMNIEŃ W GĄSZCZU DŻUNGLI AFRYKAŃSKIEJ

jednego boy'a do odległej dość wioski z ultimatum, że o ile niezwłocznie nie dostanę ludzi, to osobiście pójdę do królika o nich upomnieć się i zamiast podarków i wody ognistej — „malofu", użyję wobec czarnych „ognistego kija" t. j. sztucera. Boy wrócił koło południa, mówiąc, że „sultani" zagroził mu „szikotą"[2]), o ile jeszcze raz zjawi się we wsi, jako posłaniec białego.

Tego było już zawiele. Uzbroiwszy obu boy'ów w moją broń, oraz ładownicę z nabojami, co im nadawało wygląd dość komiczny i groźny, ruszyłem do wioski. Plan działania miałem gotów, szło jedynie o to, aby go wypełnić należycie i sprawnie. Gdy stanąłem na tyłach domu sultaniego, usłyszałem wielki wrzask i poruszenie w jego norze. Przeczekałem ten moment, a gdy się uciszyło, wraz z mymi czarnymi wtargnąłem do środka z Coltem gotowym do strzału i ze sztucerem, przewieszonym przez ramię. Sultani, jak się później okazało, nazwiskiem „Ngolube", co oznacza poprostu „świnia", właśnie miał gorącą dyskusję ze swym synem, wielkim dryblasem o zwierzęcym pysku.

Królikowi oczy stanęły słupem, gdy zobaczył „bladą twarz", z czego skorzystawszy, zarzuciłem mu cienkie lasso na szyję i przy pomocy wymowniejszej w takich razach od języka nogi, zmusiłem go do wyjścia na dwór. Boy'e, uradowani tak urozmaiconą sytuacją, dzielnie się mnie trzymali, klnąc i wymachując sztucerami w powietrzu,

[2]) szikota — nahajka ze skóry hypopotama.



CELNY STRZAŁ

tak że się na chwilę obawiałem, iż mi kolby pogruchocą.

Tymczasem cały ten manewr nie uszedł uwadze negrów, którzy w oka mgnieniu zbiegli się, wyjąc i depcąc nam po piętach. Postawa ich stawała się groźna i przyszło mi na myśl, że lada chwila możemy oberwać porządną dozę zatrutych strzał, lub ciosy straszliwych sagai. Oddawszy koniec postronka jednemu z boy'ów, wskoczyłem w zarośla i poczekawszy chwilę, gdy horda się cośkolwiek zbliżyła, wygarnąłem nad ich głowami kilka razy z Colta, co wywołało natychmiast pożądany skutek. Czarni cofnęli się w oka mgnieniu i już z oddali postępowali za nami krok w krok, ciekawi końca tej wyprawy, ciekawi głównie, jaki los czeka ich bohaterskiego wodza. Jakież było ich zdumienie, gdy zobaczyli, że wielki król Ngolube został solidnie przywiązany do drzewa stojącego opodal mojego namiotu. Oświadczyłem negrom, z którymi tylko przy pomocy tłumacza porozumiewać się mogłem, że J. Kr. Mość dotąd będzie moim miłym gościem, dopóki czarni, jego poddani, nie zechcą łaskawie wydostać na twardą glebę mego auta i nie przeprowadzą go na drugą stronę tych trzęsawisk, w których tak sromotnie ugrzązł.

Lamentom i dzikim wrzaskom długo nie było końca, narady wokoło namiotu trwałyby zapewne do późnej nocy, a że jednocześnie obawiałem się buntu, więc całą tę watahę z bronią w ręku przegoniłem na cztery wiatry, zapraszając ich do siebie na dzień następny, ale zaopatrzonych uprzednio w liny, drągi i faszynę.

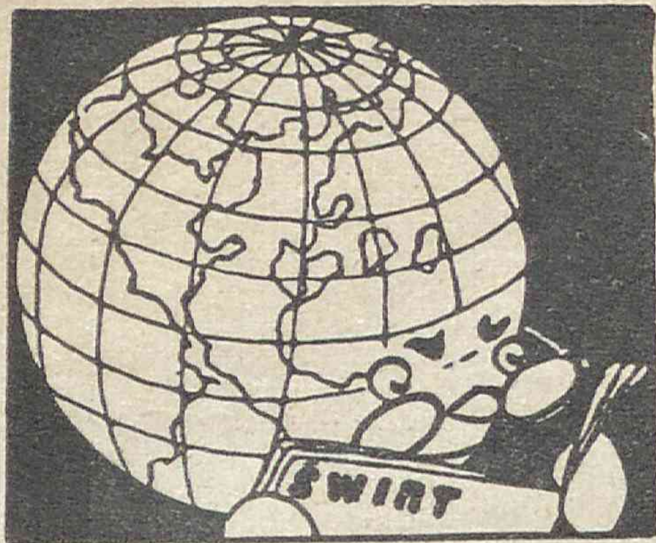
Ngoluba dostał na kolację wspaniałego banana i sardynkę w pudełku blaszanym, które go wprawiło w zadumę nad zmiennościami losu. Noc spędziłem z boy'ami przy ognisku, oganiając się od moskitów, tnących przeraźliwie. Opodal kilku sążnistych „tuku-tuku"[3]) ze świty królewskiej przy innem ognisku bacznie strzegło swego szefa. Nazajutrz, skoro tylko słońce wysunęło się nad linię horyzontu, stawiło się moc wojowników wpobliżu mego obozu, oczekując rozkazu zabrania się do roboty. Nie spiesząc się zbytnio, wyczekałem dwie godziny, poczem z Ngolubym u swego boku, przez tłomacza wydałem rozporządzenia, jak zawiązać liny plecione z cienkich ljan, któremi miano ciągnąć zatopioną maszynę.

(D. c. n.). ***Wojciech Marylski***



TARAPATY SAMOCHODU NA BEZDROŻACH AFRYKAŃSKICH

[3]) wojowników.



TYDZIEŃ ŚWIATA

W niepewności

(V.) U progu Nowego Roku ludzkość staje przed bardziej zagadkową przyszłością, niż kiedykolwiek. Bujamy nad przepaścią zawieszeni jakby między znikającym już starym brzegiem a jeszcze niewidocznym nowym.

Odczuwamy to zarówno w polityce międzynarodowej, jak i wewnętrznej. Konferencja rozbrojeniowa przerwana; czy doprowadzi ona do zabezpieczenia pokoju i zużytkowania sił wszystkich narodów w pracy twórczej, czy też przyniesie zawód i pchnie państwa ku gwałtowniejszym jeszcze zbrojeniom?

Niepewne są zamierzenia Ameryki, mającej formalnego rządcę niezdolnego już do działania i oczekującej na objęcie władzy przez nowego mandatarjusza ludności, pozbawionego jeszcze siły wykonawczej. Od zachowania się zaś Ameryki zależy wiele w Europie.

Tu w poszczególnych krajach stosunki także przedstawiają się mętnie: Niemcy z okresu walki wszystkich przeciw wszystkim weszły w fazę zmagania się parlamentu z egzekutywą; obie strony odsuwają rozstrzygający bój jaknajdalej, ale musi do niego wreszcie dojść. Stałości stosunków w Anglji i we Francji zdaje się nie wróżyć fakt, że na czele większości rządzącej stoją osoby postronne. We Włoszech załamanie się duchowe i materjalne maskują gromkiemi uroczystościami; w Rosji, zbiedzonej i pohańbionej, niczego się już nie pragnie — prócz chwili wytchnienia. Azja ogarnięta jest jawną wojną i utajoną rewolucją. I chyba jeden tylko Czarny Kontynent może powiedzieć, że korzysta ze względnego spokoju i reprezentuje stateczność ludzkości.

My u siebie w Polsce też nie czujemy się dobrze. Żyjemy z dnia na dzień, bez planu na jutro, w ciągłem oczekiwaniu na normalizację stosunków, która nie nadchodzi.

Ta tymczasowość, ten długotrwały pobyt na popasie — jest męczący psychicznie i rujnujący materjalnie. Tęskni się do własnego domu, do trwałości, do pewności, do stałego gruntu.

Czy rok 1933 przyniesie stabilizację i uspokojenie, czy też jeszcze będzie trzymał ludzkość w malignie i febrze?

Energiczny szach

— Zawsze jestem niezadowolony — powiada o sobie szach perski, Riza Chan Pahlavi — jest tyle rzeczy do zrobienia, których niestety nie mogę zrobić dość szybko!

Są jednak sprawy, z któremi Riza Chan załatwił się „dość szybko". Pozbawił tronu ród panujący, który przez parę setek lat go zajmował. W bardzo szybkiem tempie awansował samego siebie z dyktatora na władcę ukoronowanego. Zrobił to nawet szybciej od Napoleona.



Rozpoczął swą karjerę od stajennego chłopca w pułku kozaków. Został potem szefem tego pułku. Studjował w rosyjskiej szkole sztabu generalnego.

W ciągu ostatnich kilku tygodni nazwisko jego stale ukazuje się na łamach pism europejskich. Ośmielił się bowiem wypowiedzieć jednostronnie koncesję naftową brytyjskiej spółce Anglo-Persian Company, w której rząd angielski ma $^2/_3$ udziałów. Dał dymisję swemu najbliższemu współpracownikowi, Timur Tacze, który na własną rękę usiłował porozumiewać się z Anglikami. Ostatnią sensacją perską jest wystawienie na sprzedaż klejnotów królewskich dla pokrycia deficytu budżetowego.

Riza Chan pozostaje wierny swemu powiedzeniu. Chce „dość szybko" załatać dziury w skarbie swego państwa — i wyprzedaje klejnoty, które służą tronowi jako ozdoba, nie jako oparcie.

Troskliwa opieka

(J.) W Budapeszcie stracono niedawno dwuch komunistów. Z tego powodu posypały się protesty przeciwko wyrokowi. Największe wzburzenie objawiali komuniści w Wiedniu. Policja wiedeńska wpadła nawet na trop sprzysiężenia przeciwko dyplomatycznemu przedstawicielowi Węgier. Ustawiono dwuch policjantów przed bramą domu, gdzie mieszkał pan poseł. Dostawca mleka i bułek dla mieszkańców tego domu musiał dwa razy dziennie oddawać do rewizji kosz z pieczywem. Synek sklepikarza z rogu z płaczem odniósł ojcu z powrotem dwa pudełka sardynek, które zamówił telefonicznie jeden z lokatorów; policjanci chcieli bowiem otworzyć blaszanki, które przecież mogły zawierać maszynę piekielną.

Wreszcie pewnego dnia zatrzymało się przed domem naładowane walizkami auto, z którego wysiadł wytworny brunet o smagłej cerze. Policjanci naturalnie zatrzymali go i kazali otwierać walizki. Pan wyciągnął legitymację dyplomatyczną. Był posłem węgierskim. Wracał do swojego pustego mieszkania po kilkutygodniowej nieobecności...

Jeszcze tego samego popołudnia zdjęto posterunek, który przez trzy tygodnie ochraniał nieobecnego dyplomatę...

Mogło się to zdarzyć nietylko w Wiedniu.

Sylwester w Warszawie

(sk) Po martwych nieco Świętach, w wieczór Sylwestrowy Warszawa zawrzała podnieconem życiem. Wypełniły się wszystkie sale widowiskowe, restauracje, kawiarnie. Zewsząd ozwały się hałaśliwe dźwięki jazz'ów. Zdawało się, że nikt nie chciał zostać w domu, — w domu, w którym mieszkają wszystkie codzienne troski. Zagłuszyć się sztucznym gwarem, zapomnieć w ścisku o udręce ciągłego niepokoju!..

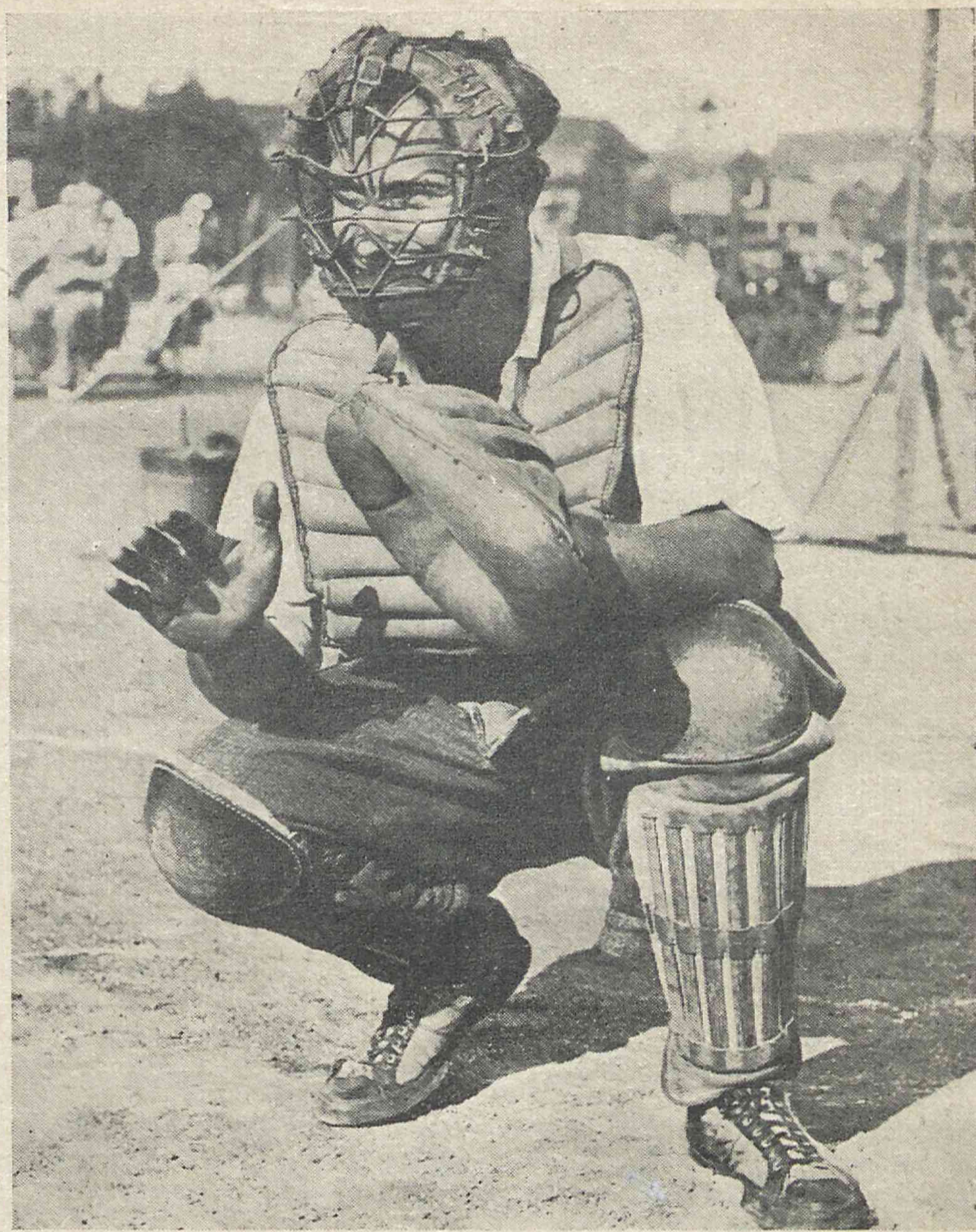
Nie strzelały wprawdzie butelki szampana, ale rodzima wódka polała się rzęsiście. Komunistów tak rozzłościł ten odruch ku zabawie, że tu i owdzie próbowali atakować lokale rozrywkowe cuchnącemi bombami. Bezskutecznie. Mało kto zresztą bawił się naprawdę. Humor rzetelny, niefrasobliwy, świecił nieobecnością.

A potem przyszedł mętny, zimowy ranek, powrót w domowe pielesze, obrachunek, ile kosztowała noc sylwestrowa... Katzenjammer.

Karnawał się rozpoczął.



Lotniczka gotowa do skoku ze spadochronem z wysokości 7.000 metrów.



Amerykańska piłka nożna „baseball": opancerzony bramkarz.

W Zakopanem

(Wig.) Jest jeden zakątek w Polsce, gdzie się nie odczuwa kryzysu — to Zakopane. Niema tu ani bezrobotnych, ani przymierających głodem, a jeśli trafi się bezdomny, to tylko w braku wolnych pokoi po hotelach i pensjonatach.

Od rana do nocy sport, zabawa i jedzenie. W każdej kawiarni po trzy seanse dancingowe dziennie: od południa do obiadu, od podwieczorku do kolacji i od kolacji aż do późnej nocy. Gdy na parterze kawiarń odbywają się tańce, na pierwszem piętrze panuje bridge; — tylko rozpoczyna się wcześniej i kończy później.

Wszędzie ścisk i ruch, jak za najlepszych czasów inflacji. Sanki mkną w różne strony i niewiadomo jakim cudem wymijają się bez wypadku. A już na Sylwestra Zakopane rozjeżdżało od lokalu do lokalu, piło, grało i tańczyło do upadłego. Szaleństwo ogarnęło Jaszczurówkę i Kuźnice, kotłowało się na Krupówkach, spływało od Bristolu, Morskiego Oka, Karpowicza i Trzaski ku prywatnym pensjonatom, w których bawiono się do rana.

To też wycieczka dziennikarzy jugosłowiańskich, która w tym czasie znalazła się pod Giewontem, została oszołomiona zawrotną zabawą Zakopanego i wciągnięta w jej wiry. Ale największe wrażenie zrobiły na jugosłowianach tańce góralskie, zorganizowane przez panią Rytardową w salonach Bristolu. Po „zbójnickim" sami puścili się w pląsy z nadobnemi góralkami. I mówili, że nigdy jeszcze tak wesoło nie witali Nowego Roku.

Z jednej ostateczności w drugą

(r.) We Francji utarło się powiedzonko, że dziennikarstwo prowadzi do wszystkiego, byle zeń wyjść. Aforyzm ten stosuje się również do artystów kabaretowych: kabaret prowadzi do teatru, byle zeń (t. j. z kabaretu) wystąpić. Niejeden wielki artysta dramatyczny zaczynał we Francji, Niemczech i Anglji w kabarecie. U nas niezapomniana Mrozińska w szyfmanowskim „Momusie" pierwsze kroki stawiała.

Teraz jesteśmy świadkami — u nas przynajmniej — procesu zgoła odwrotnego. Artyści komedjowi obojga płci uciekają od teatru do kabaretu. Zwłaszcza panie. Zaczęło się to niedawno, a lista jest już wcale długa: Modzelewska, Malicka, Romanówna, Jarkowska... Może powiększyły na chwilę dochody: szczególniejszego powodzenia, prócz Modzelewskiej, nie zdobyła żadna.

Teraz grozi nowe niebezpieczeństwo. Restauracje warszawskie próbują ściągać opornych gości produkcjami kabaretowemi. Związek Artystów Scen Polskich zezwolił na występy „przy stolikach". Na decyzję tę wpłynęła zapewne wciąż rosnąca liczba artystów bezrobotnych. Nie podniesie to jednak prestige'u stanu aktorskiego.

Rozumiemy trudności życiowe w ciężkiej dobie obecnej. Sądzimy jednak, że kompromisy muszą mieć pewne granice. Wiele można wybaczyć członkowi, daremnie szukającemu pracy. Nawet — zabawianie taniemi dowcipami gości restauracyjnych, gdy oczekują na zamówiony kotlet. Nie sądzimy, aby przystawało to artystom, należącym do stałych zespołów i pobierającym choćby skromne pensje.

Z. A. S. P., stojący na straży moralnych i materjalnych interesów aktorstwa polskiego, powinienby w tej sprawie wypowiedzieć się jaśniej.

W poszukiwaniu rozrywki



Radio zawiodło w wyborach amerykańskich, jako środek agitacyjny. Przekonano się, że wyborca chce widzieć i słuchać żywego kandydata na prezydenta i wybitnych przywódców politycznych, że nie wystarcza mu kino i radjo dla zawarcia znajomości z tym, którego ma wybierać. Musi wejść w kontakt z żywym człowiekiem z krwi i kości, aby sobie wytworzyć sąd o nim.

To doświadczenie wyborcze potwierdziło obserwowany od pewnego czasu znamienny objaw w świecie rozrywkowym. Gusty i potrzeby konsumenta rozrywek zatoczyły na przestrzeni ostatnich trzech dziesiątków lat szeroki krąg: od aktora i muzyka poprzez płótno kinematograficzne i zmechanizowaną muzykę gramofonową i radjową napowrót ku żywemu aktorowi ze sceny, ku muzykowi z estrady.

W krajach, gdzie dostarczenie rozrywki masowej i łatwo dostępnej stało się jedną z najlepiej zorganizowanych gałęzi gospodarki społecznej, jak w Stanach Zjednoczonych, Anglji, Niemczech, gdzie teatr i muzyka są najbardziej skomercjonalizowane, gdzie wielcy „kapitanowie" przemysłu rozrywkowego, jak Cochrane, Reinhardt, Ziegfield, doskonale potrafią wyczuć potrzeby i gusty publiczności — to zjawisko zaznacza się z szczególną wyrazistością.

„Dawaj publiczności to, czego ona pragnie", — pouczał słynny Barnum, i jego dzisiejsi spadkobiercy ukazują publiczności żywych jej ulubieńców z krainy cieniów i echa. Gwiazdy kinowe i radjowe występują w rewjach i na koncertach, trafiają nawet do prawdziwego teatru. Otwiera się nowa era w upstrzonych niespodziankami i rozczarowaniami dziejach zabaw i rozrywek ludzkości.

Kino zrewolucjonizowało rozrywkę. Dało ludzkości cienie, zamiast żywych ludzi, ale pozwoliło na przepych wystawy, na szybkość akcji, na różnorodność tematów, o jakich marzyć nie mógł teatr. Zamiast indywidualnych postaci ukazywać zaczęto publiczności — typy. Na scenie aktor brał swojemi osobistemi cechami — na płótnie dobry był, jeżeli reprezentował pewien typ. Działo się tak szczególnie w pierwszych latach tryumfu kina. Nawet nazwisk aktorów nie znano prawie do samego zakończenia wojny.

Teatr w okresie poprzedzającym rozwój kina przygotował poniekąd publiczność do nowej rozrywki. Stawał się mniej zindywidualizowany, uciekał się do przeróbek z powieści; dla publiczności o „wyższych" aspiracjach dawał odczyty i rozprawy w formie dramatycznej. Kino przyszło w sam czas.

Dało człowiekowi mechanizującej się ery — mechaniczną zabawkę. Sprymityzowało rozrywkę i udostępniło ją miljonom ludzi. Im głupsza była farsa, im naiwniejszy dramat — ten lepiej szły. Kino trafiło do gustu mas i zniżyło się do tego gustu.

Po wojnie jednak w świecie cieniów nastąpiła odmiana: aktor kinowy jął się wysuwać na czoło filmu, publiczność zaczęła się interesować aktorem, typy znowu zaczęły ustępować miejsca indywidualnościom. Poznaliśmy nazwiska Mary Pickford, Charlie Chaplina, Toma Mixa. Powojenna publiczność szukała również „głębszej" treści w kinie. Rozpoczęła się era „sztuk" filmowych.

Zmienne wymagania powojennej publiczności zdezorjentowały potężny przemysł filmowy, który starając się dogodzić publiczności, nie umiał jej sobie wychowywać i przerzucał się od skrajności ku skrajności, tracąc coraz bardziej grunt pod nogami.

Stanął nanowo na twardej ziemi z wynalezieniem sposobu udźwiękowienia filmu. Publiczność dostała nową zabawkę i tłumnie pobiegła posłuchać Al. Jolsona i innych pionierów „talkies'ów". Zrazu wystarczały jej naiwne sentymentalne melodramaty i rzekomo wesołe operetki. Amerykański przemysł filmowy, oceniany w chwili swego największego rozkwitu na dwa miljardy dolarów, znalazł nowe źródło dochodu. Dwadzieścia miljonów dolarów wyciągnął w Ameryce od właścicieli kin za samą przebudowę aparatury.

Ale dobra konjunktura dźwiękowców trwała jeszcze krócej, aniżeli filmu niemego. Ewolucja dźwiękowca dokonała się w tempie skróconem — i dźwiękowiec szybciej doszedł do stadjum przesilenia. Dziś szuka własnego oblicza.

Grozi mu, że stanie się teatrem na płótnie — i że wypędzi wtedy publiczność do prawdziwego teatru.

Dźwiękowca poprzedziło radio. Ono niezawodnie wiele zaszkodziło filmowi, dostarczając rozrywkę do domu; odegrało jednak wielką rolę wychowawczą, budząc w najdalszych zakątkach świata, w najbardziej osamotnionych siedzibach ludzkich potrzebę rozrywki i zainteresowanie muzyką, teatrem, sztuką.

Krąg, tocząc się od teatru poprzez film niemy, radjo i dźwiękowiec, zaczął zbliżać się znowu do teatru ludzi żywych. Jesteśmy właśnie na początku odrodzenia krwi i kości w rzemiośle rozrywkowem. Publiczność znowu szuka bezpośredniego kontaktu z aktorem. Wyborca chce widzieć i słyszeć żywego polityka.

J. S.



Ex-cesarz Wilhelm II



pędzi w Doorn, w pięknym zameczku, który zakupił w Holandji, sielankowe życie: osobiście karmi kury i kaczuszki, bawi się z pieskiem i hoduje róże. Często jeździ do swego przyjaciela hr. Bentincka, gdzie dwaj starsi panowie zabawiają się w drwali. Podobno rąbanie drzewa doskonale robi na zdrowie.



Ex-kaiser w swoim gabinecie do pracy gromadzi zabytki starożytności i dzieła sztuki. Unika on samotności, to też druga żona jego Hermina i księżniczka Henrieta towarzyszą mu w godzinach, przeznaczonych na lekturę i porządkowanie zbiorów. Wilhelm sporządził sobie specjalny pulpit do czytania; biurka nie ma w swoim pokoju. Pisze przy innym wysokim pulpicie, siedząc na stołku w kształcie siodła. Przecież zawsze chciał uchodzić za urodzonego kawalerzystę

Świat książki

NOWY REKORD POLKI

Niedawno zmarły zasłużony dziennikarz i literat, ś. p. Wojciech Dąbrowski, niezadługo przed śmiercią złożył nam artykuł, który poniżej zamieszczamy.

Szczupła i wątła dziennikarka warszawska, podejmując podróż do wnętrza Sahary*), do fantastycznej krainy Hoggaru, nie myślała z pewnością o zdobyciu światowego rekordu sportowego pań. A jednak p. Ludwika Ciechanowiecka, wnioskując na podstawie jej grubego, przeszło 500 stron liczącego dzieła, właśnie taki rekord zdobyła.

Miała ona bowiem dwie międzynarodowe rywalki, które wywoływały zachwyty w prasie dwóch krajów, mianowicie Niemkę, dr. Marję Weidler, która także dotarła do Hoggaru, choć zdaje się nie tak daleko, jak p. Ciechanowiecka, i Francuzkę, p. Morel, która zwiedziła nieznane okolice na Madagaskarze.

Ale p. Weidler jechała pod opieką Instytutu Carneggiego, którego jest przedstawicielką na Niemcy, z jedną kieszenią dobrze wypchaną przez tę fundację, z drugą — wypełnioną pozostałościami bolszewickiego funduszu agitacyjnego, zaoszczędzonego z czasów, gdy była współpracowniczką Łunaczarskiego w Moskwie. P. Morel zaś przeprowadziła swoją podróż w roli oficjalnej kierowniczki misji naukowej, wysłanej przez rząd francuski.

Pomimo to prasa niemiecka i francuska pełne są — i słusznie — zachwytów dla sportowej strony podróży tych pań. Tymczasem p. Ciechanowiecka pojechała na własne ryzyko, bez żadnej eskorty, sama jedna, z gołemi rękami, bez broni, prócz wiecznego pióra i z biednemi dziennikarskiemi groszkami, kołaczącemi się w woreczku, a najtrudniejszą część podróży odbyła na transportach benzyny i bodaj czy nie dynamitu, przysiadając się do wojskowych automobilów towarowych, prawie w ten sposób, jak warszawski gazeciarz, odbywający drogę z jednej dzielnicy do drugiej, uwieszony na buforach tramwajowych. Podróżując tak po pustyni, załamała się z automobilem na cały prawie tydzień. Niewiele brakowało, aby została zawiana przez samum. Czyniła rozpaczliwe poszukiwania wody do picia i wydostała się z tych opresji z kpiącym uśmiechem, nie robiąc z nich tragedji.

A zatem mamy niewątpliwie do czynienia z objawem najwybitniejszych przymiotów sportowych... Te same właściwości pozwoliły jej bez zniecierpliwienia znieść 33 dniowe (zamiast projektowanych trzech dni) wyczekiwanie w tajemniczym Mzabie na „okazję" do Hoggaru; równowaga umysłu, pogoda i bystre spojrzenie pozwoliły jej zobaczyć to, czego nikt przed nią nie widział. Pomogła jej coprawda przy tem kobiecość, która otwarła przed nią bramy muzułmańskich haremów i klasztoru „Białych Sióstr", z nieporównanem poświęceniem pracujących nad dobrem ludności afrykańskiej, pozwoliła jej wreszcie w samym Hoggarze zbliżyć się przez kobiety do Tuaregów, tych olbrzymów-pogan, których mężczyźni chodzą zamaskowani, noszą ogromne miecze z rękojeścią w kształcie krzyża, a w ornamentach swoich mają powtarzający się także motyw krzyża, co przemawia za legendą, jakoby byli potomkami zabłąkanych uczestników wypraw krzyżowych.

Wiele z rzeczy widzianych p. Ciechanowiecka odarła z tradycyjnej i powieściowej wspaniałości, jak np. haremy, które w jej opowiadaniu są brudnemi, nędznemi barłogami; wiele natomiast lekceważonych dotychczas zjawisk podniosła i wyolbrzymiła, zwracając przedewszystkiem uwagę na człowieka tamtejszego.

Z chochlikową zdolnością przerzucania się od rzeczy bardzo małych do wielkich, zauważyła np. że bosy Europejczyk na Saharze odzyskuje ruchliwość nóg, których palce biorą udział w gestykulacji przy rozmowie, a równocześnie także zjawisko, że wobec przyrody saharyjskiej człowiek biały staje zasugestjonowany, jakby pod magnetycznym wpływem węża boa.

Taki wpływ przyrody, w stanie najwyższej jej grozy, zobrazował tylko jeden pisarz francuski Octave Mirbeau, przedstawiając w „Dwudziestu jeden dniach neurastenika" swego przyjaciela Fresselou, który zamierzał spędzić kilka dni na jakimś szczycie pirenejskim, ale, zapatrzywszy się tam w oczy śmierci, został już na zawsze...

P. Ciechanowiecka mówi o tych i o innych czarach Sahary z większą od Mirbeau prostotą, a stylem krzepkim i zwinnym, bez śladu kobiecego mizdrzenia się. Co przedewszystkiem robi książkę jej zajmującą i pociągającą, to zdolność autorki przepuszczania każdego obrazu, każdej postaci, przez pryzmat swojej własnej osobowości, tak że wkońcu w rojowisku zajmujących zdarzeń i osób, chociaż autorka nigdy nie wysuwa siebie naprzód, nigdy się nie przechwala, nigdy nie spowiada się przed czytelnikiem, najbardziej zajmującą staje się właśnie postać tej... wątłej panienki, szwendającej się swobodnie po zakazanych przestworzach świata.

Wrażenie to potęguje się aż do złudzenia optycznego w ustępie, gdzie p. Ciechanowiecka opisuje przygodną swą przyjaciółkę w „Gnieździe Szaambów", t. j. do niedawna rozbójników arabskich; arabkę Lallę, która „ruchy ma nieco kocie, chód lekki i elastyczny... w pojęciu Arabów uchodzi za starą pannę, bo ma już lat dwadzieścia, a nie wyszła zamąż... gdyż zakochała się w swobodzie". Oprowadzając naszą autorkę po mieszkaniach swej rodziny i swoich znajomych, wymachuje ona flakonem podarowanych perfum i perfumuje wszystkich po drodze, bo „taka jest po arabsku gościnna i rozrzutna"...

W tem miejscu czuje się, jakby p. Ciechanowiecka stała przed czarodziejskiem lustrem, które oddaje wiernie jej własną postać, tylko zmieniając strój europejski na fantastyczne łachmany arabki...

W. D.

---

*) *Ludwika Ciechanowiecka:* „W sercu Sahary". Wydawnictwo Księgarni Szylinga. Warszawa, 1932.

BOGOWIE GERMANJI

Powieść Andrzeja Struga p. t. „Żółty Krzyż" zdobyła sobie już kulturalnych czytelników po ukazaniu się w odbitce książkowej pierwszego tomu: „Tajemnicy Renu". Zjawiły się i głosy ujemne, przesądzające twórczy wysiłek znakomitego beletrysty przed poznaniem w całości jego koncepcji powieściowej! Otrzymaliśmy obecnie tom drugi, zatytułowany „Bogowie Germanji". Jest to środkowa część olbrzymiego utworu o ambicjach, godnych zasłużonego nazwiska tego dużej miary pisarza.

Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, iż nikt z beletrystów świata nie pokazał dotychczas wojny europejskiej od strony kulis i machinacji sztabowych. Suggestja mentalna, wytwarzana świadomie i celowo dla ideału zwycięstwa, działa jed-

nakowo intensywnie i złowrogo w środowiskach dwóch głównych partnerów: niemców i francuzów. Suggestją tą kierują nie tajemnicze jakieś siły, lecz ludzie postawieni rozkazem do bałamucenia społeczeństw, do podtrzymywania nastrojów, do fabrykowania odpowiednich haseł, do urabiania opinji. W ich rękach skupiają się nici psychologicznego oddziaływania na narody, kształtowania iluzji i legendy, potrzebnych do sprężystego kierownictwa. W pracy tej wybitną a nawet często decydującą rolę odgrywają wydziały wywiadu i kontrwywiadu. Andrzej Strug spojrzał więc na zawiłą a krwawą grę od tej strony: wytrzymałość dusz mierzy się tu przygotowaniem moralnem podpułkownika d'Arland i gen. Sittenfelda. Francuski mistrz prowadzi walkę w warunkach nieprzychylnych. Zbyt wiele wie, by mógł sam wierzyć w własne legendy. Ugnie się pod ciężarem swojej wiedzy. Zginie, jak szlachetny żołnierz.

Gen. von Sittenfeld jest naturą nie tak skomplikowaną. W rozgrywce ma do dyspozycji niewątpliwe zdobycze terytorjalne. Zasłania się niemi przed tragedją frontu i nędzą wewnątrz kraju. I on jednak traci poczucie rzeczywistości. Fakty proste stają się niewiarogodne, a bzdury urastają do potęg realnych.

Ma on w rękach szefa francuskiego wywiadu von Trothena. Kocha się w Evie Evard — inwigilatorce wojennej francuskiej, znakomitej aktorce filmowej, nie umie wykorzystać jej, jako atutu. Zemści się później na niej, jako na kobiecie, która nie chciała mu być zbyt powolną, gdy ucieknie z Berlina i po przez Szwajcarję wróci do Paryża. Mściwa jego ręka dosięgnie Evę, uroczą, kapryśną niewiastę, wyobrażającą sobie, iż można było w tem starciu złowrogich żywiołów pozwolić sobie na luksus myśli, iż „jednakowy był fałsz po obu stronach i jednaka wina". Zapewne nie bez wpływu na skonkretyzowanie tej myśli pozostał jej stosunek do młodzieńczego rewolucjonisty ks. Uchmatowa. Rozmarzył ją ten rosyjski „Khnass" możliwością stworzenia filmu proletarjackiego, gdzieby ona, córka drwala z Kanady, wieściła prawdę o sprawiedliwości społecznej. Znużyły ją już obrazy o konwencjonalnej treści, sławiące jej urodę, jej nieodparte spojrzenia.

Czyżby za ten bezinteresowny poryw namiętności i serca miała również ponieść karę? Na pytanie to otrzymamy odpowiedź w trzeciej części tej pasjonującej powieści: „Ostatnim filmie Evy Evard".

Andrzej Strug w „Bogach Germanji" dał znów kilka jasnowidzeń psychologicznych. Jakże upiorne a prawdziwe są sceny, gdy van Trothen załamał się, wyczerpał duchowo! Jakże ciekawą jest odmiana tego wyczerpania nerwów: duchowa transmutacja kapitana Despaix w dr. Ossjana Helma. Obserwacje psychologiczno-moralne, ujęte w męskie słowo A. Struga, przynoszą wiele wzruszeń i w stosunku do dr. Wagera oraz jego tragicznej, muzykalnej córki, oczekującej na powrót męża, komendanta łodzi podwodnej.

Twórca „Żółtego Krzyża" w powieści tej odsłonił się nam, jako czarodziej doznań muzycznych. Rita w partyturach Bethovena, Chopina szuka ukojenia, równowagi, siły do przetrwania. Berlin w początku 1918 r., jak i Paryż z tego okresu wojny pod piórem Struga jawią się w wizji artystycznej subtelnej, plastycznej. Splot wydarzeń rozsnuwa się nad przepaściami arcyludzkich dociekań, szukających sensu i piękna, wartości i planu wyższego, moralnego w przewalających się, historycznych kataklizmach. Nie każdego stać na to, by ujrzeć tę właściwą treść „Żółtego Krzyża"! Chcianoby sprowadzić ten utwór do poziomu dziejów kapryśnej aktorki filmowej, która wyobraziła sobie, iż potrafi użyć wojny do celów swoich snobich, wyłącznie kobiecych, jak czyni to z sukniami, strojami, kochankami!

„Żółty Krzyż" jest powieścią sięgającą w inne pokłady artystyczne. Dostarcza ona wzruszeń głębokich i refleksji płodnych. W dorobku naszym literackim obecnym stanowi czołową pozycję!

Eustachy Czekalski

Poezje

„Garść Popiołu" Marjana Piechala.

Ta prześliczna zewnętrznie książeczka, nad której układem graficznym czuwał St. Chrostowski, dorównać pragnie wykwintem bibljofilskim poziomowi przesławnych ksiąg Dzikowskich, które spłonęły podczas pamiętnego pożaru dnia 20 grudnia 1927 roku. Trzynaście elegji Piechala poświęconych jest temu tragicznemu zdarzeniu i ludziom, którzy stracili życie, ratując zagrożone skarby kultury. Tym „którzy tak pięknie i gorzko umarli za coś — lepsze od życia, mocniejsze niż śmierć". Wiersze Piechala stoją na wysokim poziomie nastroju i wyrazu, mają melodję, powagę i szlachetny patos, który zniewala i porusza.

*

Fryderyk Szyller. „Don Karlos infant hiszpański". Przekład Kazimiery Iłłakowiczówny. Tłomaczenia Iłłakowiczówny, znane nam już ze sceny Teatru Narodowego w Warszawie, są ogromnym krokiem naprzód na drodze unowocześnienia przekładów. Wartki i swobodny tok wiersza, powtarzający melodję pierwowzoru, a tak daleki od rygorystycznego wystukiwania przepisanych tropów, daje słowu i myśli możność rozwinięcia się, zakwitnięcia w obcym języku. Rytmika i wersyfikacja tego niezapomnianego dramatu, w nowej polskiej wersji, nosi na sobie piętno ślicznego poetyckiego talentu tłomaczki.

*

Bibljoteka Medycka, która wązki zakres swojej działalności wydawniczej ogranicza do bibljofilskich, wytwornych wydań dzieł członków utalentowanej rodziny Wolskich i Pawlikowskich, wystąpiła obecnie z dwoma tomami poezji *Beaty Obertyńskiej,* autorki powieści „Gitara i Tamci", tomu poezji „Pszczoły w słoneczniku" i bajki „O braciach śnieżnych". Przeestetyzowane i bardzo kobiece, tematem swym obracają się te dwa tomiki: „Klonowe motyle" i „Głóg przydrożny" w kręgu drobnych wzruszeń, lirycznych wspomnień, barwnych odczuć przyrody i wspomnień dzieciństwa. Formą spokrewnione są z kapryśną liryką Pawlikowskiej.

H. M.

JUBILEUSZ DZIENNIKA POLSKIEGO W AMERYCE



STEFAN KLECZKOWSKI, naczelny redaktor „Kurjera Narodowego" w Nowym Jorku. Pismo to obchodziło niedawno 20-lecie swego istnienia.

WARSZAWA WCZORAJ I DZIŚ

ULICA MIODOWA i KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE



Widok Krak. Przedm. od strony kolumny Zygmunta według obrazu Zymunta Vogla (koniec XVIII w.)



Widok ulicy Miodowej według obrazu Zygmunta Vogla (koniec XVIII w.)

Nazwa każdej z ulic dawnej Warszawy posiada swoje obyczajowe czy historyczne wytłomaczenie. Przed wiekami bowiem nomenklatura urbanistyczna miała swój sens i wyraz. Zanim nadano jakiejś ulicy nazwę, zastanawiano się nad jej celowością, logiką, a przedewszystkiem myślano o tem, aby nazwa ta była związana z historją miasta. Dziś o takich głupstwach się nie myśli. Powierza się tego rodzaju zadanie pierwszemu lepszemu urzędnikowi i stąd powstają najdziksze absurdy. Najobskurniejsza, nikomu nieznana przeczniczka nazywa się ulicą Słowackiego, a ulice Mickiewicza i Krasińskiego stykają się bezpośrednio... z placem Wilsona. Tego rodzaju koncepcji można wyliczyć dziesiątki.

Skąd się wzięła nazwa ulicy Miodowej?

Czy za legendarnych czasów Warsa i Sawy stały tu pasieki, a w lipcowe, skwarne południa brzęczały sennie, monotonnie pszczoły? Czy też rozciągały się niezmierzone łany wonnej tatarki, nad któremi unosiły się roje owych maleńkich pracowniczek bożych, o których cudowną książkę napisał Maeterlinck?

Nic podobnego. Za czasów książąt mazowieckich ulica ta, jedna z najstarszych w Warszawie, nazywała się Przeczną. Przy końcu w. XV i na początku XVI upodobali ją sobie fabrykanci pierników, których zwano wówczas miodownikami. Pobudowali oni piękne domostwa i ulica Przeczna z czasem nazwana została Miodownikową, Miodowniczą i wreszcie Miodową. Próbowano nazywać ją od kościoła Kapucyńską, lecz nazwa ta, jak i później proponowana — ulica Napoleona, nie utrzymała się.

Ze względu na bliskie sąsiedztwo z Zamkiem, upodobali ją sobie ówcześni możni. A więc wznieśli tu pałac biskupi krakowscy, zamieniony później na sąd apelacyjny, wychodzący jednym frontem na ulicę Senatorską; stanął dom rodziny Piotrowskich, pałac Teppera, wzniesiony według planów Efraima Schrögera i t. d.

W roku 1683, na pamiątkę odsieczy pod Wiedniem, wybudowano kościół Kapucynów, ozdobiony herbem Sobieskich „Janina", przebudowany następnie za czasów Stanisława Augusta. Pałac Paca został wzniesiony daleko później, bo dopiero przy końcu XVIII w. Jego miejsce zajmowała rezydencja ks. Czartoryskiego, wojewody ruskiego. Obecny pałac arcybiskupi był własnością podkanclerzego Borcha, za nim zaś mieściła się siedziba Lelewelów.

Przeciwległą stronę ulicy rozpoczynał pałac Branickich, nazwany później kamienicą „Pod filarami". Drugim z kolei był pałac biskupa Młodziejowskiego, zajęty następnie przez Igelströma, skąd przepędziły go wojska polskie w r. 1794 za czasów powstania Kilińskiego. Dalej wznosił się pałac Mniszcha, który z kolei przeszedł na własność Aleksandra Chodkiewicza. W pałacu tym mieściła się w okresie powstania listopadowego popularna kawiarenka „Honoratka", miejsce spotkań młodzieży, literatury i cyganerji warszawskiej, niejednokrotnie unieśmiertelniona w poezji, prozie i plastyce. W kawiarence częstym, choć niepożądanym gościem był szpieg Makroł, o którym wspomina w „Nocy listopadowej" Wyspiański:

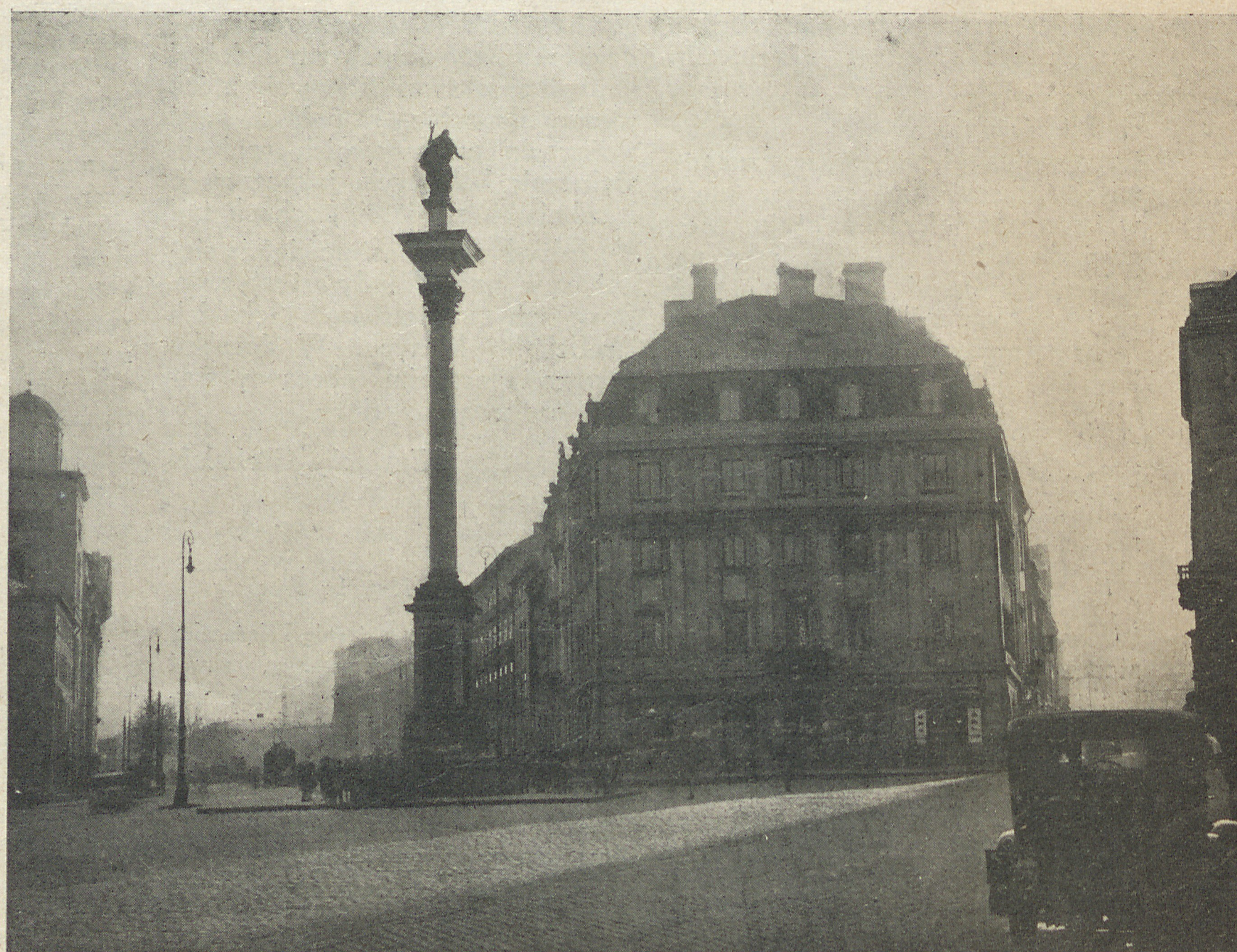
...w notesie kryjomie imiona
[spisuję
osób, które tam klęczą. — I tak
[na trop spisku
wpadam zlekka, powoli...

Dalszy ciąg ulicy stanowiła kaplica metropolitów kijowskich, oraz gmach kolegjum pijarskiego, zamienionego później na szkołę aplikacyjną i sąd apelacyjny Królestwa.

Dziś większość pałaców przy ul. Miodowej stanowi własność rządu, który oddał je na rezydencję Temidy, sklepy zaś w domach czynszowych, wybudowanych znacznie później, nie sprzedają pierników i miodów, lecz futra. Tu skoncentrował się niemal w całości przemysł kuśnierski.

U wejścia w ulicę Miodową, na placu Zamkowym wznosi się najwspanialszy pomnik warszawski, charakterystyczny dla widoku naszej stolicy, kolumna króla Zygmunta III. Kolumna ta nie stoi na dawnem miejscu, lecz została przesunięta bardziej na środek placu, w kierunku Podwala, jak to widać z zestawienia obrazu Vogla z fotografją współczesną.

ski.



Obecny wygląd Krakowskiego Przedmieścia od strony kolumny Zygmunta



Obecny wygląd ulicy Miodowej

Fotografje Marjana Fuksa (1932 r.)

ZOFJA WOJNAROWSKA

DWA ZEGARY

(NOWELA)

Proboszcz Gantz w Mühlbachu*) szedł odprawić prymarję. W uliczce, wiodącej z plebanji do kościoła, leżał chłodny mrok poranny, bo na dolinę, w którą wcisnęło się miasto, nie spojrzało jeszcze słońce, wędrujące z tamtej strony góry. I tylko nad ciemno-zielonemi grzywami sosen stało radosne niebo błękitne i różowe. Po zboczach niewysokich, baniastych gór włóczyły się mgły, jak przystało na lipcowy poranek, zwiastujący pogodę.

Maleńkie miasteczko budziło się ze snu. Obok otwartego już sklepu piekarskiego podnosił story rzeźnik, a przed swoim domem fryzjer zamiatał ulicę; nie liczył jeszcze na klijentów. Często przejeżdżali robotnicy na rowerach, spiesząc do tkalni.

Kościół katolicki stał na skraju miasteczka, otoczony zielenią; przed głównem wejściem był nieduży plac. O dwieście kroków dalej i wyżej wznosił się kościół protestancki, zajmując samo centrum miasteczka. Kościół katolicki był dość duży, na kremowo pomalowany, zbudowany w stylu wszystkich górskich kościołków w Wogezach, z wieżą prostą, niewysoką; kościół protestancki był większy, z różowego, gładzonego kamienia. Miał przedsionek na kolumnach, wieżę grubszą, okazalszą, rozpartą z jakąś pseudo-romańską fantazją; miał dzwony też bardzo głośne. Na obu wieżach widniały duże, wymowne twarze zegarów.

Z wielką zawsze goryczą myślał proboszcz Gantz o tych przewagach protestanckiego kościoła i jedną miał tylko pociechę: zegar. Bo oto zegar na katolickim kościele wyprzedzał o minutę zegar protestancki i zawsze pierwszy wybijał dźwięcznie kwadranse, a później godziny. W sekundę po nim bił zegar na ratuszu, później na szkole, później na straży ogniowej, i wreszcie — dopiero zegar na kościele protestanckim.

Proboszcz Gantz rósł z uciechy, gdy myślał, że to „jego" zegar wiedzie prym w tej orkiestrze.

Dochodziła szósta. Proboszcz był już na stopniach, wiodących do zakrystji, gdy niespodziewanie rozległ się dźwięk pierwszego kwadransa, lecz jakiś głośniejszy, niż zazwyczaj. Proboszcz stanął, słuchał, skamieniał.. Czyżby stał się cud? Czyżby to był protestancki?

Baum.. baum... baum... baum... Cztery głośne, powolne uderzenia, a później sześć twardych suchych: bumu, bumu, bumu..

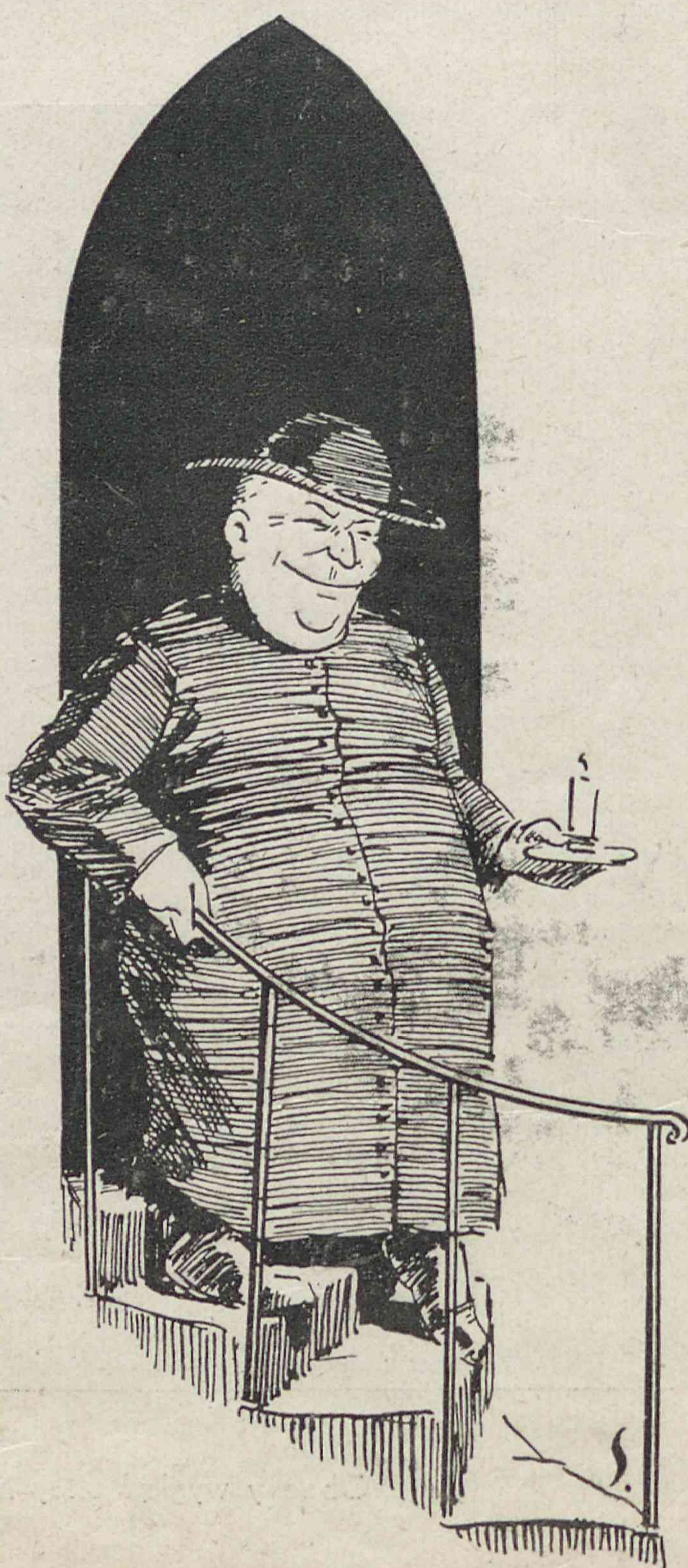
Jego zegar dzwonił: a — dang..., a — dang, a później — dę dę..., dę.

Tak! To zegar protestancki pierwszy ogłosił dziś miasteczku szóstą godzinę rano i dopiero po nim rozległo się a—dang i dę. Proboszcz nie wierzył uszom, musiał sprawdzić oczami. Pobiegł prawie pędem i spojrzał w twarz protestanckiego zegara. Była już minuta po szóstej! Co się stało? Jakim sposobem zegar, późniący się stale od wielu lat o jedną minutę, wyprzedził raptem zegar katolicki? A jeszcze wczoraj dzwonił, jak zwykle. Proboszcz wracał do zakrystji ze zwieszoną głową, przybity, zda się postarzały o lat parę. Był w rozpaczy. Zdawało mu się, że duży, kościsty, sztywny pastor Gartz również słucha bijących godzin, śmiejąc się i zaciera ręce.

Tak też było w istocie. Pastor nie posiadał się z radości i dziękował Bogu, że go natchnął szczęśliwą myślą posunięcia zegara.

— Czemuż tego nie uczyniłem wcześniej — wyrzucał sobie.

W tej chwili poczuł wyrzut, wiedział bowiem, czemu nie uczynił tego wcześniej i wykonał dopiero to teraz: trzeba było sprawdzić przyczynę opóźniania się, sprowadzić zegarmistrza, zapłacić. Wczoraj przyjechał doń niespodziewanie w odwiedziny daleki kuzyn, zajmujący się szlachetnym kunsztem zegarmistrzowskim. Hans skonstatował, że zegar na wierzy opóźnia się o całe dwie minuty w porównaniu z jego złotą cebulą, wiszącą na grubym łańcuchu i zaofiarował się uregulować go.



Pastor poklepał Hansa po ramieniu i poczęstował cygarem. Był bardzo kontent. Opóźnione dzwonienie zegara nie sprawiało mu wprawdzie nigdy zbyt wielkiej przykrości, bo czuł przewagę monumentalności swej świątyni nad kościołem katolickim, jednak doznał wielkiej satysfakcji, gdy i pod względem zegarowym stanął niejako ponad swoim współzawodnikiem na terenie duszpasterstwa. Przez cały dzień cogodzina podchodził do okna, aby lepiej słyszeć bicie zegara, choć domek jego stał tuż obok kościoła.

Już nadszedł wieczór i pora spoczynku, a heretycki zegar wciąż trzymał prym w zegarowej symfonji Mühlbachu. Proboszcz z roztargnieniem odmówił pacierze i położył się spać. Zasnąć nie mógł i czekał z kwadransa na kwadrans na bicie zegarów. Co się stało? zadawał sobie pytanie po raz tysiączny. Ktoś zegar posunął. Któżby, jeśli nie sam pan pastor Gartz, aby do reszty pognębić katolicką trzodę? Ksiądz proboszcz przewracał się z boku na bok, jak w gorączce. Raptem błysła mu myśl: a gdybym tak i ja mój zegar posunął o minutę? Zadrżał z radości. Narzucił sutannę, wziął świecę, zapałki, klucze od kościoła. Wyszedł. Miasto spało. Otworzył zakrystję, przeszedł przez furty i milczący kościół ku wejściu głównemu, obok którego wiodły kręte, wązkie schodki na wieżę zegarową. Wspinał się ku górze, tracąc dech ze wzruszenia i zmęczenia. Dotarł wreszcie do szafki zegarowej, otworzył i, gdy serce waliło jak młot, posunął wskazówkę o dwie minuty. Odetchnął, otarł pot z czoła, zamknął zegar i wracał szybko ukradkiem. Gdy znalazł się już w sypialni i położył do łóżka, odezwały się cztery łagodne uderzenia: dang, a później dwanaście dę. Dopiero w ślad za niemi brzęknęło baumn i bumn.

Proboszcz zasnął słodko.

* * *

Zdziwienie pastora nie miało granic, gdy nazajutrz o dziesiątej rano Fryda, podając mu filiżankę wybornej kawy, powiedziała:

— A wiesz, ojczulku, katolicki zegar znów bije pierwszy.

Pastor pozostał z otworzonemi ustami i ze zbliżonym do nich butersznytem.

— Pierwszy?...

— A tak, posłuchaj tylko, zaraz wybije dziesiąta.

Pastor nadstawił uszu. Istotnie za chwilę ozwało się a — dang i dę, a dopiero później baumn i bumn. Pastor zaklął i miał tak rozczarowaną minę, że błękitnooka Fryda wybuchnęła śmiechem.

*) Małe miasteczko po alzackiej stronie Wogezów.

Śmiały się oczy, loki, podbródek i dwa dołeczki na świeżych policzkach. Fryda nie podzielała oburzenia ojca, miała bowiem powody, aby sympatycznem okiem patrzeć na staruszka księdza, u którego od połowy czerwca bawił jego siostrzeniec Fred, student medycyny, chłopak prosty jak świeca i żywy, jak iskra.

Pastor chodził przez cały dzień, jak struty, natomiast proboszcz uśmiechał się niebiańsko. Los zrządził, że spotkali się na placu zaraz po obiedzie. Zazwyczaj kłaniali się sobie z wymuszoną grzecznością. Dziś duży, czarny kapelusz księdza ironicznie zamiótł niemal po ziemi, sztywny melonik pastora ledwie raczył unieść się nieco nad głową.

Stan był wyraźnie wojenny.

Wieczorem pastor żalił się przed Frydą, iż kuzyn wyjechał, bo mógłby jeszcze raz posunąć zegar.

— Och, czy to tak trudno zegar posunąć!? — zawołała Fryda wesoło, opierając ręce na biodrach.

Twarz pastora zajaśniała. Prawda! Czyż to tak trudno? Był przecież z Hansem na wieży i widział, jak się to robi. Postanowienie zostało powzięte, choć się do tego nie przyznał przed córką. Oczekiwał niecierpliwie nocy, aby zamiar wykonać. I gdy już dom cały był pogrążony we śnie, wziął latarkę, klucze i udał się cichaczem na wieżę. Sapał, gdy wspinał się po wąskich trzeszczących schodach, ale zaciętość ciągnęła go w górę. Z biciem serca drżącemi rękami popchnął zegar naprzód o dwie minuty.

Na drugi dzień, proboszcz, spieszący do kościoła, usłyszał ze zgrozą, że baumn i bumn uderza pierwej od a — dang i dę. Zaciął zęby, obrócił się ku protestanckiej wieży i pogroził pięścią.

Wojna była wypowiedziana.

Teraz codzień jeden z zegarów posuwał się o dwie minuty i przez całą dobę pierwszy wydzwaniał godziny. Pozostałe zegary nie mogły nadążyć warjackiemu krokowi obu wież, a mieszkańcy Mühlbachu popadali w coraz większe zdumienie. Msza w katolickim kościele odbywała się coraz wcześniej. Po dwóch tygodniach była już różnica całego kwadransa z czasem właściwym i wszystkie pobożne dusze, śpieszące na prymarję, musiały wstawać wcześniej. W kościele protestanckim nabożeństwo odbywało się tylko w niedzielę, jednak zdziwienie było nie mniejsze, gdy wierni przyszli już w połowie nabożeństwa. Obaj walczący byli głusi na sarkania przyjaciół i domowników, a nawet działo się tak, jakby owe narzekania podniecały ich zaciętość.

Gdy zegary, naprzemiany prześcigając się w dzwonieniu, posunęły się już o półgodziny, pastor zaczekał z kazaniem, aż zgromadzili się wszyscy wierni i palnął mówkę, że dla chwały bożej wiele nieraz przenieść trzeba. Mówił o Jakubie, zwyciężonym przez anioła, o ślepym Tobjaszu, którego anioł prowadził i t. d. Słowem, kazanie było wygłoszone w takim tonie, że co domyślniejsi wyczuli, iż to anioł z woli wyższej posuwa wskazówki zegara, walcząc z siłą nieczystą. I wyszli z domu modlitwy, przeświadczeni o świętości pastora.



Wyścigi obu zegarów wywołały w mieście wiele gadaniny. Ksiądz i pastor trwali w uporze. Przy spotkaniu nie wymieniali już ukłonów; proboszcz wbijał wzrok w ziemię, pastor patrzył w górę.

I niewiadomo, jak długo trwałaby ta szczególna walka, gdyby Amor nie wmieszał się w tę sprawę. Amor, regulujący czas i wszystkie sprawy ziemskie.

Fred i Fryda bardzo się kochali, jednak musieli kryć się ze swojemi uczuciami i widywać potajemnie, albowiem ksiądz proboszcz, aczkolwiek tolerancyjny, widząc, iż rzeczy mogą pójść za daleko, odesłałby natychmiast swego siostrzeńca, a ojciec Frydy, bardzo gwałtowny, mógłby ją nawet wykląć i wyrzucić z domu.

Najlepszą więc i jedyną porą spotkań, bo najmniej wzbudzającą podejrzeń, był ranek.

Gdy rozpoczęły się mistyczne wyścigi zegarów, Fred coraz wcześniej musiał żegnać Frydę; nie podobało się jej to i chodziła nadąsana. Po pewnym czasie, gdy sam na sam stale się kurczyło, poczęła wymawiać ojcu zachowanie się niegodne tak dostojnej osoby, jak pastor w Mühlbachu. Ale pastor, uczyniwszy minę tajemniczą, dał jej do zrozumienia, że w posuwaniu się wskazówek zegara jest palec Boży. Że może tu zachodzić interwencja anioła, o czem mówił w ostatniem kazaniu.

Na drugi dzień Fryda powtórzyła ukochanemu rozmowę z ojcem, dodając, że słyszała sama, jak trzeszczą schody pod aniołem, który o północy zegar posuwa. Fred roześmiał się.

— Czekaj! Mam sposób, tylko musisz mi pomóc.

— Na co masz sposób?

— Na anioła, posuwającego wskazówki. Otwórz kościół o wpół do dziesiątej, ja będę czekać w pobliżu, prześlizgnę się, a ty później zamkniesz.

Zgodziła się, bo niczegoby mu nie odmówiła.

W tej chwili rozległ się pierwszy dźwięk dzwonu na prymarję, i Fryda nie zdążyła już zapytać o jego pomysł. Pamiętała tylko, że ma otworzyć drzwi o 10-ej. Spełniła obietnicę. Fred mignął jej tylko przed oczami z jakiemś zawiniątkiem i znikł w ciemnościach kościoła.

O północy pastor, jak zwykle, udał się na wieżę. Fryda włożyła miękkie pantofle i cichutko wymknęła się w ślad za nim. Ujrzała ze zdumieniem wielką białą postać ze skrzydłami stojącą nieco wyżej wejścia na schody, wiodące ku wieży zegarowej. Czcigodny pastor z Mühlbachu leżał przed postacią.

A tubalny głos grzmiał:

— Pastorze z Mühlbachu! Nie przyśpieszaj godziny twej śmierci posuwaniem wskazówek zegara. I pamiętaj o przygodzie Heliodora. Taka jest wola Pana. Amen!

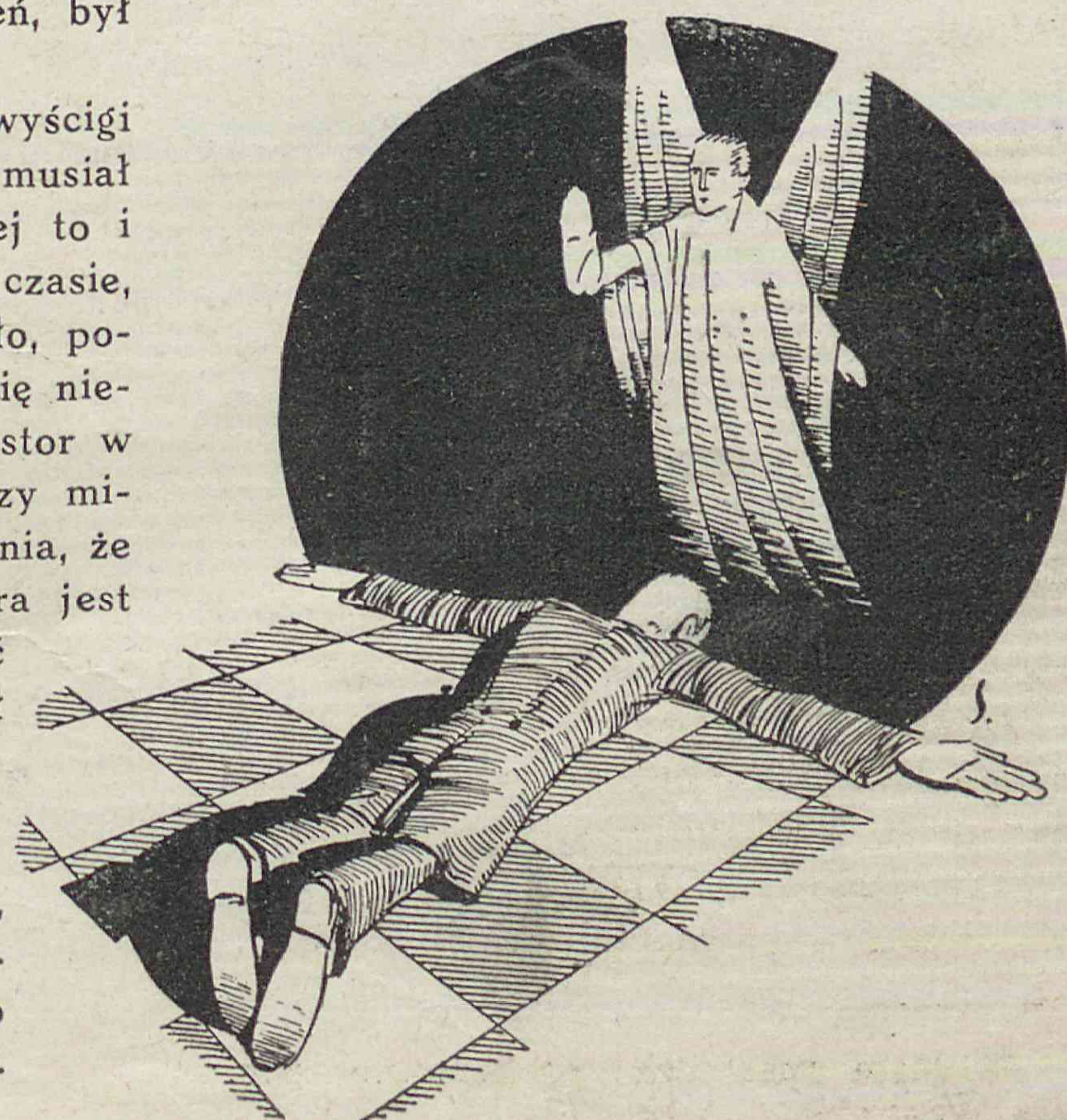
Głos umilkł, postać znikła, a przerażony pastor z trudem powstawał, aby coprędzej uciec z kościoła. Zapomniał o zamknięciu drzwi, tylko biegł co tchu do siebie. Prawie że otarł się o Frydę, która nie wiedziała, czy śmiać się, czy bać o przerażonego ojca.

— Chodźmy trochę na spacer, noc taka ładna... — wyrwał ją z zadumy głos Freda.

Objął Frydę i zniknęli w ciepłym mroku lipcowej nocy.

Odtąd zegar protestancki przestał się spieszyć i znów bił po zegarze kościelnym, ratuszowym, szkolnym, z całą minutą opóźnienia.

Münster, 1932.





Kobieta zmienną jest...

Tak niedawno jeszcze, 25 lat temu, stałyśmy tłumnie przed zamkniętemi drzwiami. Działy się tam rzeczy ciekawe i straszne. Dochodziły do nas okrzyki walki, zachwytu i rozkoszy.

— To mężczyzna żył.

Okruchy swoich przeżyć przynosił do domu w postaci pieniędzy, złego lub dobrego humoru, rozrywki czy podarunku.

Był panem, żądał niewiele: dzieci, ciszy, ładu, przyjemnego wyglądu żony. Jeśli wzamian ofiarowywał dość pieniędzy i dobrego humoru, szczęście było zapewnione.

Ale nie wszystkie byłyśmy zdolne dać to właśnie, czego żądał i nie wszyscy mężczyźni mogli dać to, co obiecywali.

Trochę z ciekawości, trochę z musu zaczęłyśmy wystawać pod drzwiami i naradzać się, jak, którędy się tam dostać, jak drzwi wywalić?

Zdawało się najprościej — tak jak oni: krótki włos, papieros, gruby głos.

Stały, co mocniejsze, w pierwszym rzędzie, waliły pięścią w drzwi. Co słabsze drżały w ogonku, niepewne, czy to dobrze czy źle.

Gąszcz swobód był nie do ogarnięcia. Byłyśmy bez praw obywatelstwa, bez praw własności, bez praw do dziecka, bez praw do wyższego wykształcenia, bez praw do pracy zawodowej — zdane na łaskę własnej urody i wdzięku, które były jedyną bronią w wywalczaniu sobie szczęścia. Szeregi mocnych kobiet rosły, drzwi pod naporem ustępowały.

Przyszedł okres Wielkiej Wojny. Oczy zwróciły się gdzieindziej. A kiedy znalazłyśmy się we własnym kraju, drzwi stanęły na ścieżaj otwarte. Zrobił to trochę czas i trochę my same.

Obraz się zmienił. Z tłumu stojącego przed bramą swobód tylko mała cząstka przekroczyła próg. Reszta drży dalej u wejścia. Teraz przeraża je gąszcz *osiągniętych* swobód.

Konstytucją zagwarantowane mamy prawo własności, prawo głosu, prawo do dziecka, do wykształcenia, do pracy, do rozwodu i tyle, tyle praw i swobód. Jakże je brać? Co z dawnych przywilejów zatrzymać, a czego z praw dzisiejszych nie tykać? Bo jakże to mamy — my — słabsze fizycznie o tyle od mężczyzn, działać? Zachowałyśmy nasze dawne domeny: dom, dziecko, urodę — i nowe dobra się na nas sypią. Czy aby nie trzeba coś z tego bogactwa odparcelować?

Skądże możemy wychowywać dzieci, jeśli nam praktyka zawodowa zabiera cały dzień? Jak możemy czuwać nad domem, jeśli musimy spędzać czas poza nim? Jakże mamy być piękne i bawić się nocami, jeśli musimy wstawać na 8 g. do biura?

A może nauczyć mężczyzn nowej piękności kobiecej, na ich podobieństwo zrobionej: twarz poorana zmarszczkami i przeżyciami, nikłe emblematy kobiecości schowane w prosty strój.

Nie! Tego nie chcemy, przynajmniej dziś.

Więc może nauczyć mężczyzn łagodnych zajęć domowych: łatania dziur, pilnowania kuchni, popychania wózka dziecięcego?

Tego oni nie zechcą.

Dzień dzisiejszy tworzy nowe formy. Tak niedawne dramaty z powodu kochanka, lub nieślubnego dziecka są dziś tylko sprawą osobistą, nie pasjonują ogółu. Nazywamy „niezdarną" kobietę, która nie umie sobie poradzić z własnem życiem uczuciowem. Mamy większe kłopoty. Zastanawia nas znikoma procentowo ilość kobiet na odpowiedzialnych stanowiskach, nie rozumiemy, czemu nie garną się do zrzeszeń, czemu nie zakładają klubów, dlaczego tak ostrożnie, jakby niechętnie opanowują w życiu to, co już zdobyły na papierze. Trochę inną jest rzeczywistość, niż były zamierzenia. Ale przecież i to, co jest, o ileż lepsze od przeszłości?

Rodzi się nowy typ ludzi — „koleżeński". Dzieli ich płeć, a raczej dodaje im uroku odmienność płci. Pozatem są sobie równi. Mogą razem pracować, bawić się, sportować. Tyle samo pracujemy, tyle samo używamy. Tyś trochę mocniejszy, zatom ja odporniejsza. Dopełnimy się wzajem, tylko pilnuj się mężczyzno, bo skala twoich możności wysiłkami wieków wymierzona. Kobieta wkracza w życie z nowemi siłami. Do czego jest zdolna, nikt jeszcze dokładnie nie wie — nawet ona sama.

Janina Janicka



Przejrzyjmy się w lustrze: Co panie noszą podczas tegorocznej zimy



PŁASZCZ WIECZOROWY ZE SREBRZYSTEGO AKSAMITU Z NIEBIESKIM LISEM



TOALETA Z CZARNEGO JEDWABIU CHARMEUSE Z BIAŁO-CZARNEM PRZYBRANIEM

SUKNIA WIECZOROWA Z CZARNEGO JEDWABIU





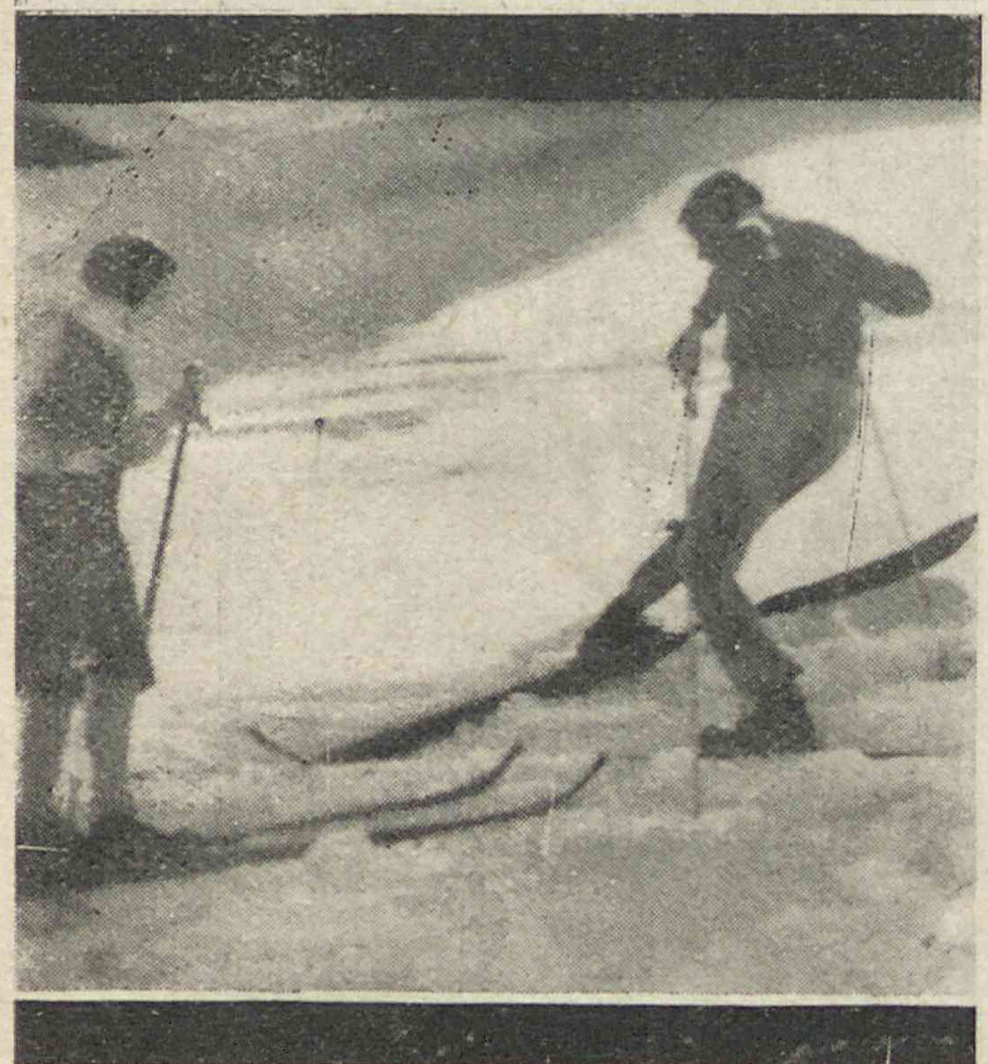
CZARNA SUKNIA WIZYTOWA Z BIAŁĄ BLUZKĄ I CZARNĄ KAMIZELKĄ



CZARNA SUKNIA WIECZOROWA Z PELERYNKĄ ZE SREBRNEGO VELOURSCHIFFON

Uczymy się jazdy na nartach!



Pierwszy krok na nartach! Ile wzruszeń, ile zabawy!

Przypiął sobie człek dwie długie deski do stóp, wysmarowane, śliskie, niezgrabne. Musiał nogi obuć w ciężkie, mocne buciska na grube, podwójne skarpetki. Musiał dokonać skomplikowanej czynności przypięcia niezgrabnych wiązań, gmatwaniny pasków, paseczków i sprzączek. Z jedną nogą można było sobie jeszcze dać radę, ale jak pochylić się, jak przykucnąć, żeby i na drugą nogę wdziać nartę?

Co dopiero, kiedy pierwsze kroki narciarskie stawiają nóżki kobiece, które zamiast kilkunastu gramów pantofelków mają dźwigać ciężar kilograma, a może i więcej butów i desek?

Po uporaniu się z temi przedwstępnemi czynnościami, po złamaniu paznokci przy zakładaniu desek i nawiązaniu kontaktu ze śniegiem niektórych części ciała, które normalnie nie powinny być białe, — uczeń staje wreszcie na nartach.

Tu dopiero zacznie się prawdziwa przyjemność. Zanim człek rozpocznie jazdę, musi nauczyć się stać i siedzieć, przykucać i wyprostowywać się z deskami u nóg i z kijkami, odpowiednio, według ustalonej reguły, trzymanemi w rękach. Trzeba nauczyć się władzy nad własnem ciałem, której nie posiadamy w należytym stopniu nawet bez nart. Potem przychodzi kolej na zwrot na miejscu, ten właśnie, który uwidoczniony jest na naszym rysunku.

Na lewo instruktor pokazuje, jak to się robi: wyrzut nogi w górę, ostry skręt na 180 stopni dokoła piętki narty, przystawienie nogi do nogi, ze stopami zwróconemi w przeciwległe strony, i wreszcie, łagodny zwrot drugiej narty dokoła osi — nogi.

Proste i łatwe, nieprawdaż? — ale nie dla tej pani na prawym rysunku, która kończy zwrot głową w śniegu.

Upadek jest niegroźny. Trochę śmiechu — i próbę ponawia się. Za drugim razem już pójdzie lepiej. Potem będzie się wywijało nartami w powietrzu bez wysiłku i bez obawy o upadek. Następnie będzie się chodziło na nartach, zjeżdżało w dół, uczyło zwrotów i t. p. — ażeby po kilku zaledwie dniach wyruszyć w góry.

js.






„Wszystko dla bliźnich" w Teatrze Nowym

Swietna kreacja Bogusława Samborskiego

(Sprawozdanie z premjery na odwrocie)



Świętoszek - filantrop (B. Samborski) łagodzi konflikt między swoją żoną (J. Macherska) a jej kochankiem (W. Biegański).



Przyjaciel (Wojciech Brydziński) uśmierza senatora - filantropa (Samborskiego) w walce z poszkodowanym komiwojażerem z Romorantim (Henryk Małkowski).

Fot. Jan Malarski



Dobroczyńca (Samborski) przyprowadza do domu zbłąkanego „Hioba". Nad pieskiem litują się urocza Klandynka (Zofja Gryf-Olszewska) i „cwaniak" lokaj (Józef Kempa).



Po długich i pociesznych perypetjach narzeczeni godzą się: (Zofja Gryf-Olszewska i Ryszard Kierczyński).

Świętoszek up to date

Wszystko dla roli Bogusława Samborskiego.

Premjera w Teatrze Nowym.

Jerzy Berr, autor sztuki „Wszystko dla bliźnich", napisał już niemało komedji i fars — samodzielnie i do spółki z innymi. (Słynny „Mecenas Bolbek i jego mąż" do spółki z Verneuil'em). Jednocześnie jest profesorem Konserwatorjum paryskiego, gdzie w „klasie komedji" wykłada literaturę klasyczną: Rasyna, Kornela, Moljera. A wreszcie — i to jest jego fach główny — jest wybitnym artystą „Komedji Francuskiej" zwanej także: *Maison Molière*...

Wytrawny pisarz sceniczny, w dodatku francuz, bez wysiłku dał zręczną intrygę, doskonałą budowę i niemało dowcipu (niekiedy trochę drastycznego i nawet cierpkiego. Obarczony „kompleksem Moljera", z łatwością uległ chwalebnej ambicji przetransponowania klasycznego wzoru na język doby dzisiejszej. A jako wybitny aktor nie mógł nie napisać świetnej, popisowej, wręcz: „występowej" roli aktorskiej!

Powiedzmy odrazu: ta arcyrola filantropa i senatora pana Lavalette — ten *Tartuffe modèle 1933* — to kwintesencja i główna wartość trzyaktowej komedji Jerzego Berra. W precyzyjnem, do najdrobniejszych szczegółów opracowanem, wykonaniu Bogusława Samborskiego to treść, sens i atrakcja dwugodzinnego wieczoru w Teatrze Nowym. Dla znawców i smakoszów kunsztu aktorskiego — a nie powinno ich zbraknąć w Warszawie — sens duży i atrakcja niemała.

Les autres (tytuł oryginału) w spektaklu mają być posłuszni tekstowi autora. Nasi *bliźni* zrobili więcej. Panie Gryf-Olszewska i Macherska do sprawnej gry komedjowej dodały urodę i piękne toalety. Wojciech Brydziński autorytetem nazwiska aktorskiego przydał wagi roli „przyjaciela". Bieganński ożywił amanta *truc*'iem charakterystycznym. Zabawił Małkowski. Z „nowozaciężnych" panów: Kierczyńskiego i Kempy winna być zadowolona i publiczność i reżyser Borowski. Nie wolno też zapomnieć o czworonogim aktorze Hiobie. Szczeknął z talentem.

el.

Autor sztuki „Kobieta i Szmaragd" zachwycony warszawskiem przedstawieniem

(m) W Warszawie bawił autor granej obecnie w Teatrze Letnim sztuki „Kobieta i Szmaragd" Harry Jenkins.

Jest on twórcą całego szeregu scenarjuszy filmowych, realizowanych przez pierwszorzędnych reżyserów.

— „Kobieta i szmaragd" to moja pierwsza sztuka sceniczna — mówi Jenkins — ale teraz zapaliłem się do pracy w teatrze...

— Gdzie odbyła się prapremjera pańskiej sztuki?

— W Madrycie. Potem grano ją w Barcelonie, następnie w „Volkstheater" w Wiedniu. Wiedeńskie przedstawienie było bardzo dobre, ale warszawskie przewyższa je pod względem reżyserji... Muszę tedy wyrazić specjalne podziękowanie Chaberskiemu za świetne tempo i chumor, jaki wydobył z mej sztuki.. Bardzo mi się podobała pani Smosarska — ma w sobie tyle czarującej kobiecości. P. Wesołowski jest idealnem poprostu wcieleniem nadinspektora Wilkeya. P. Kurnakowicz — znakomity.



HARRY JENKINS

— Czy pisze pan jakąś nową sztukę?

— Już nawet napisałem. Tytuł S. A. S. to znaczy „Szkoła sex-appealud" (Sex-appeal School). Egzemplarz tej sztuki prześlę wkrótce dyr. Krzywoszewskiemu.

Inflacja kabaretów stolikowych w Warszawie

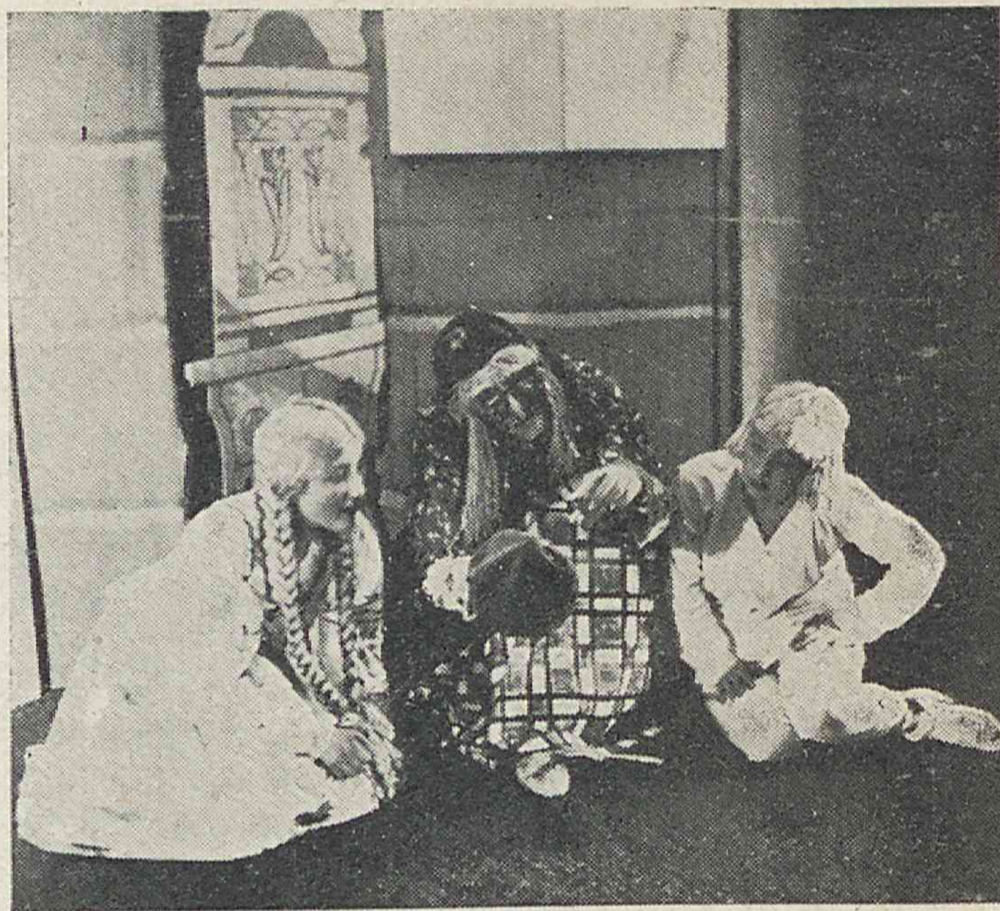
(m) Powodzenie kabaretu „Femina", założonego w restauracji Hotelu Angielskiego przez dyr. Seweryna Majdego, wywołało żywą chęć naśladownictwa.

I oto zaczyna się formalna inflacja kabaretów stolikowych.

W lokalu „Oazy" otwiera się pod kierunkiem Szerszenia i Zygmunta Wojciechowskiego kabaret, który ma wskrzesić tak popularną swego czasu nazwę „Momus". Twórcy nowego „Momusa" zamierzają oprzeć swój program przedewszystkiem na artystach dramatycznych i śpiewakach poważnych, używając natomiast jak najmniej sił rewjowych.

W stylowej winiarni Fukiera powstaje nadscenka literacka pod nazwą „Gospoda na Starem Mieście". Pozatem w trzech jeszcze lokalach restauracyjnych mają być zorganizowane kabarety.

Teatr Wielki na Pohulance w Wilnie



„NIEBIESKI PTAK" MAETERLINCKA W INSCENIZACJI DR. JERZEGO RONARDA BUJOŃSKIEGO

Do trzech razy sztuka...

Historja paryska.

Jeden z najwybitniejszych, najbardziej dziś wziętych, francuskich pisarzy dramatycznych młodego pokolenia — Stève Passeur — napisał przed kilku laty komedję p. t. „*Pas encore*". Sztuka, zgodnie z tytułem *(nomen omen!)* nie zdobyła powodzenia; jednakże krytyka paryska jednogłośnie orzekła, że akt pierwszy jest wręcz — wyśmienity! Nie zniechęcony fiaskiem całości, przeciwnie, zachęcony przychylną oceną aktu pierwszego, dopisuje wnet autor do tego aktu nowy ciąg dalszy i po roku wystawia sztukę pod nowym tytułem „*Le dernier mot*".

Ale nie było to „Ostatnie słowo", gdyż sztuka i w tej nowej wersji — padła. Niezrażony drugiem z kolei niepowodzeniem bierze zacięty Passeur po raz trzeci ten sam akt pierwszy na warsztat i dopisuje do niego raz jeszcze — nowe dwa. Powstała stąd nowa komedja „*Une vilaine femme*", którą tym razem uznała krytyka już niemal w całości za doskonałą, wyrażając jednocześnie słuszny podziw dla energji, pracowitości i poszanowania zawodu ze strony utalentowanego autora.

Tak jest... W ojczyźnie Boileau, Racine'a i Moljera żyje jeszcze kult dla rzemiosła pisarskiego, skoro można tam do trzech razy pisać — sztukę teatralną. I nietylko pisać, ale i - - wystawiać. I nietylko wystawiać, ale — co najważniejsze — znaleźć publiczność, gdyż, jak wieść niesie, „Brzydka kobieta" mimo... nieładny tytuł... zdobyła powodzenie.

Do trzech razy sztuka — udała się! w Paryżu...

A przecież trzeba jeszcze dodać, że krytycy trzy razy musieli chodzić na sztukę i trzy razy — sprawozdawać...

W kilku wierszach

Ustąpienie dyr. Lorentowicza. W pismach codziennych znajdujemy wiadomość, iż dyrektor Jan Lorentowicz z dn. 1 stycznia ustąpił ze stanowiska kierownika artystycznego Teatru Artystów. Powodem ustąpienia: „niemożność ustalenia i uzgodnienia z dyrekcją tego teatru jakiegokolwiek planu repertuarowego wobec braku lepszych sił aktorskich i reżyserskich".

*

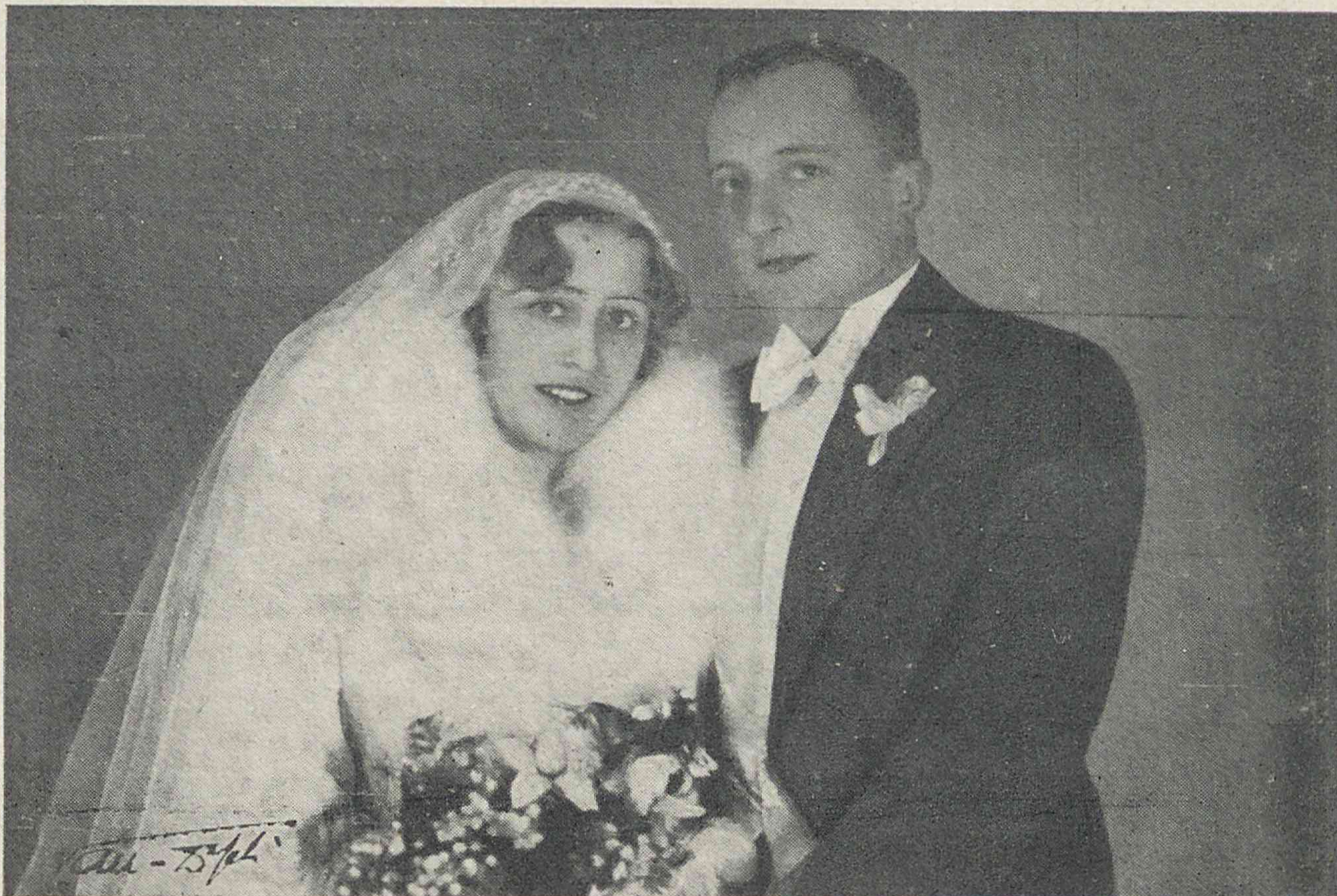
Chiny ryczą w Łodzi. Po awanturniczym „sukcesie" w teatrze miejskim we Lwowie w sezonie ubiegłym, weszła z kolei rozgłośna sztuka Tretjakowa *„Ryczcie, Chiny!" (Ryczi, Kitaj!)* na scenę teatru miejskiego w Łodzi — w tej samej lwowskiej inscenizacji Leona Schillera. Tym razem władze wojewódzkie miejscowe nie sprzeciwiły się produkowaniu sztuki sowieckiej i azjatycki melodramat „mniejszościowy" grany jest w Łodzi bez przeszkód, i, jak wieści niosą — bez większego powodzenia. Podobno ujrzymy go niezadługo w Warszawie.

*

„Covent Garden" przed zamianą na hale targowe. — Przodujący teatr operowy angielski, jednocześnie jeden z największych w tym rodzaju w Europie, ma być z końcem bieżącego sezonu zburzony. Na jego miejscu staną wielkie hale targowe, które zresztą przylegają już niemal do gmachu operowego i których powiększeniu „Covent Garden" stoi na przeszkodzie. Decyzja zburzenia powzięta została przez władze komunalne londyńskie podobno z powodu konieczności regulacyjno-cyrkulacyjnych. Towarzystwo, eksploatujące Operę, nie sprzeciwia się zbytnio tej decyzji, gdyż interesy naczelnej instytucji muzycznej angielskiej z powodu osłabionej frekwencji są raczej deficytowe.

Opera „Covent Garden" stoi okrągłe lat 200 (zbudowano ją w r. 1732). Gmach słynie ze swych zalet akustycznych: obok medjolańskiej „La Scala" jest to w tej chwili najbardziej akustyczna widownia teatralna na świecie.

Z KRONIKI TOWARZYSKIEJ



W dniu 31.XII.32 r. w kościele św. Józefa Oblubieńca (O. O. Karmelitów) w Warszawie, ks. Dr. Marcin Szkopowski, prefekt pana młodego, w asyście ks. Jana Suskiego pobłogosławił związek małżeński pomiędzy p. Eugienją Martą Gajewską córką przemysłowca i obywatela m. st. Warszawy, a p. Stanisławem Leonem Kamińskim, inżynierem dróg i mostów. Życzymy Młodej Parze wiele szczęścia.

Humor teatralny

ŚMIETANKA...

W pewnem gronie światowem w Paryżu rozmawiano o najnowszej komedji sensacyjnej Bourdet'a *„Fleur des pois"* („Śmietanka"), której tematem — jak wiadomo — jest klub homoseksualistów. Księżna M. chwaliła się, że była na sztuce i bawiła się doskonale.

Jeden z panów, ubrany z tą typową, zlekka... żenującą elegancją, oburzył się.

— To nikczemna potwarz! Jak można patrzeć na podobne bezeceństwa!

— Mój Boże — odpowiedziała księżna — wolę patrzeć na tych panów na scenie, niż w życiu.

Wytworny, elegancki pan zakręcił się na pięcie...

REWANŻ

(Autentyczne).

Jeden z paryskich literatów, pozostający zresztą w dość luźnych stosunkach z życiem teatralnem Paryża, otrzymał pewnego dnia list następujący:

„Szanowny Panie!

Nie wiem, czy pan sobie mnie przypomina, ale miałem zaszczyt parę tygodni temu być w towarzystwie pańskiem na obiedzie u państwa X. Ponieważ słyszałem, że pan jest literatem, prosiłbym go bardzo o dostarczenie mi na najbliższą niedzielę loży do Opery Komicznej (6 miejsc).

Z poważaniem i t. d."

Literat, po chwili osłupienia, odpisał co następuje:

„Szanowny Panie!

„Nie mam przyjemności znać pańskich stosunków, ale może zna pan jakiego rzeźnika paryskiego; mam mieć w najbliższą niedzielę grono przyjaciół na obiedzie, proszę więc uprzejmie o dostarczenie mi 6 funtów polędwicy. Po otrzymaniu przesyłki natychmiast zajmę się spełnieniem pańskiego życzenia.

Z poważaniem i t. d."

Zamknięcie konkursu na hasło na „Dentosan"

Jak było do przewidzenia, konkurs na hasło reklamowe na znane z dobroci wyroby „Dentosan", wywołał ogromne zainteresowanie, którego najwymowniejszym dowodem jest kilka tysięcy nadesłanych projektów, stanowiących bardzo bogaty materjał dla sądu konkursowego.

Dnia 7 b. m. zbierze się sąd konkursowy w gmachu firmy „L. Spiess i Syn" przy ul. Daniłowiczowskiej 16 w następującym składzie: utalentowane i znane artystki teatrów miejskich: pp. Mieczysława Ćwiklińska i Karolina Lubieńska, znakomity i najpopularniejszy w Polsce pisarz, Kornel Makuszyński, ulubiony komedjopisarz Stefan Kiedrzyński, redaktorzy: Witold Giełżyński i Jan Sokolicz-Wroczyński, przedstawiciele firm „Antiba" i „Ludwik Spiess i Syn", pp. dyrektor Ludwik, Antoni Kozłowski i Edward Freyer oraz Stanisław Pietraszek.

Dnia 14 b. m. w Nr. 2 „Świata" ogłoszone zostaną wybrane przez sąd projekty haseł, oraz nazwiska osób nagrodzonych.



PASTERZ I BIAŁE OWIECZKI

WROGOWIE PRZYJACIÓŁMI

Niema chyba głupszego przysłowia od: „żyje jak pies z kotem". Gdyby bowiem najdoskonalsza istota pod słońcem, pan stworzenia, potrafiła ustosunkować się do swoich bliźnich, jak bardzo często ustosunkowywują się te czworonogi, życie byłoby idealną sielanką. Wśród zwierząt bowiem niema tej nienawiści i zaciekłości, jaką odznacza się człowiek. Jest tylko walka o byt, troska o zdobycie pożywienia. Gdy jednak karmu mają poddostatkiem, zwierzęta potrafią żyć ze sobą w najidealniejszej zgodzie i przyjaźni, a co więcej składać dowody wzruszającej tkliwości oraz troski w stosunku do słabszego i mniej zaradnego współtowarzysza.

Zgodna harmonja między kotem i psem, owcą a lwem — znana jest już od prawieków i stąd zapewne bierze początek legenda biblijna o idealnem życiu zwierząt w raju, które dopiero zamącił człowiek.

Jako mały chłopiec miałem dwoje najlepszych i jedynych może dotychczas w życiu przyjaciół — pudla Alfa i kotkę Zośkę. Ofiarowano mi jednego dnia i odtąd współżycie obojga było najwymowniejszem zaprzeczeniem tak rozpowszechnionego a niesłusznego przysłowia. Sypiali i jadali razem, bardzo często chadzali na spacery, a ilekroć w pobliżu kotki zjawił się jakiś obcy pies, Alf zasłaniał ją i szczerzył białe i ostre zęby. Pamiętam te szalone wybuchy radości, z jakiemi witali się po parogodzinnem niewidzeniu, owe wesołe poszczekiwania i pełne zadowolenia pomruki Zośki, gdy łasząc się i wyginając, poddawała się pieszczocie psiego języka. Pamiętam kilkudniowy niepokój, zdenerwowanie i smutek kotki, gdy wskutek niezależnych od siebie okoliczności musieli się rozstać na zawsze.

Miłośnicy zwierząt oddawna już przeprowadzają próby, uwieńczone najczęściej pomyślnym wynikiem, chowania wspólnie zwierząt pozornie nieznoszących się i uważanych za nieprzejednanych wrogów. Do bardzo ciekawych wyników doszedł w Warszawie przedewszystkiem p. Wekliński, który chowa koty wraz z myszami. Między tą oryginalną, bądź co bądź gromadką panuje idealna harmonja. Bawią się, dokazują, myszy chodzą kotu nietylko po głowie, ale i po grzbiecie i wszyscy uważają, że tak być powinno. Kot — przysłowiowy postrach maleńkich gryzoniów — jest ich przyjacielem i towarzyszem, bez którego trudno byłoby się obejść.

Napewno wiele osób pamięta wierną parę przyjaciół w dawnym jeszcze ogrodzie Zoologicznym z Alei 3-go Maja: Wspaniałą lwicę Djanę, mieszkającą w jednej klatce z suczką, wilczycą Normą. Nie rozstawały się ze sobą, figlując całemi godzinami, sypiając przytulone do siebie i zgodnie dzieląc się posiłkiem. A przecież wystarczyło jedno uderzenie łapą, lub silniejsze zaciśnięcie szczęk, aby z Normy została krwawa masa.

Powszechnie znanym wypadkiem w menażerjach czy ogrodach zoologicznych jest karmienie szczeniąt przez samice zupełnie innych a nawet wrogich gatunków. W berlińskiem Zoo dwa młode lamparty zawdzięczają życie pięknej wyżlicy, która wykarmiła je własną piersią, niczem najczulsza matka, myjąc, pielęgnując i warcząc groźnie, gdy ktokolwiek chciał się zbliżyć do jej pupilów.

A któż nie widział kury, prowadzącej wylęgnięte przez siebie kaczęta. Jakiż to cudowny obraz tkliwości, miłości, troskliwości i dumy, a nieraz i poświęcenia, graniczącego z narażeniem życia. Nie radziłbym nikomu spróbować pochwycić małe kaczę. Dziób i pazury kury stają się niebezpiecznym orężem.

Pewien australijski farmer posiada ekscentryczną i bodajże jedyną parę przyjaciół: wielkiego żółwia morskiego, który nie rozstaje się z białym królikiem. Odbywają dalekie spacery i są nierozłączni, rozumieją się doskonale, i, co najważniejsze, nie szukają wcale towarzystwa, jakby człowiek powiedział „ze swojej sfery".

Oryginalną „trójkę hultajską" stanowili przez długi czas w pewnej leśniczówce: pies, kot i wiewiórka. Tryumwirat ten rozerwał wkońcu złośliwy chłopak, który zastrzelił wiewiórkę. Osieroceni przyjaciele opłakiwali ją długo, chociaż podobno zwierzęta nie płaczą.

Znane są wypadki przyjaźni lisa z młodym kogutkiem, orła z gołębiem, małp z kotami, kruka z królikiem, psa z cielęciem, kota z małemi kurczętami, pawia z gołębiami, najdrapieżniejszych bestji z najpotulniejszemi zwierzętami.

Cóż stąd wynika? Że uczucie nienawiści wśród zwierząt nie istnieje w zasadzie. W stanie dzikim, na wolności, pewne gatunki napadają na siebie i zjadają się. Lecz to nie jest bynajmniej nienawiścią, tylko najpotężniejszem prawem życia — dążeniem do zaspokojenia głodu. Skoro się go usunie, znika też i zaciętość, a stosunki ułożyć się mogą najpoprawniej. Natomiast wśród zwierząt domowych, lub żyjących w niewoli siewcą nienawiści jest człowiek.

Mali chłopcy, a często dorównywujący im umysłowo i dorośli, szczujący koty psami, każący psom uganiać się za drobiem, rozbudzają niepotrzebnie w zwierzętach instynkt dzikości. Odzywa się atawistyczny głos prałowów, kiedy głodny pies pędził za zdobyczą, ścigał ją, bo musiał nakarmić siebie i swoje młode.

Natomiast, gdy od maleńkiego będziemy wychowywali razem najbardziej napozór wrogie i nieznoszące się gatunki, osiągniemy przekonywujące rezultaty miłości, harmonji i przyjaźni, rezultaty, mogące być nieosiągalnym wprost przykładem dla ludzi.

j. s. w.



PRZYJACIELSKA TRÓJKA

CZYŻBY KONIEC „SREBRNEGO EKRANU"?

(Doniosły wynalazek polski w dziedzinie kinematografji)

W małym, plecionym koszyczku leżą płowe i rumiane, okrągłe jabłka. Jak „żywe". Chciałoby się wyciągnąć rękę i — schrupać. — Potem purpurowo migocące ognisko wśród zapadającego zmroku i — dym, siny dym, jaki snuje się po kartofliskach jesienią. — Realizm, nie pozbawiony artystycznych momentów — nie razi i nie przeraża, jak dotychczasowe kolorowe „wkładki" do „superfilmów", gdzie wesoła różowość nóg sławnej „star" walczy o lepsze żywością z grynszpanową zielenią plenerów.

Wynalazek Jana Szczepanika, udoskonalony przez p. Zbigniewa Szczepanika-Dzikowskiego, kontynuatora prac ojca, polega na właściwem zastosowaniu tych samych metod, co przy fotografji trójbarwnej.

Dla laika sama nazwa „fotografja trójbarwna" przedstawia coś w rodzaju trójkolorowego obrazka. Tymczasem, przy pomocy trzech zasadniczych kolorów osiągamy pełne efekty malarskie. — Już oddawna próbowano stosować metody, używane przy zdjęciach fotograficznych, w kinematografji. Natrafiono jednak na nieprzezwyciężone — zdawało się — trudności. Gdy bowiem przy fotografji nakłada się na siebie trzy zasadniczo różne kolory bezpośrednio na papier, to w kinematografji nasunęła się konieczność połączenia trzech klisz w jedną, gdyż na filmie efekt świetlny uzyskujemy wprost z kliszy. Próbowano przeto sklejać trzy, jednocześnie zdejmowane przez różne filtry, taśmy. Okazało się, iż obraz w ten sposób wyświetlany zatraca ostrość konturu, staje się zamazanym i niewyraźnym. — Zawiodły i inne sposoby, naprzykład film, zabarwiony sztucznie, dawał rozpaczliwe efekty przeniesionych na pocztówki oleodruków.

Szczepanik wpadł pierwszy na właściwy pomysł: — Jak wiemy, zdjęcie kinematograficzne składa się z szeregu następujących po sobie drobnych obrazków. Konstruktor na jednej czarno-białej taśmie, przy pomocy trojga oczu aparatu, przysłoniętych odpowiedniemi filtrami, uchwycił po trzy obrazki, upstrzone białemi plamami w miejscach, odpowiadających zasadniczym barwom.

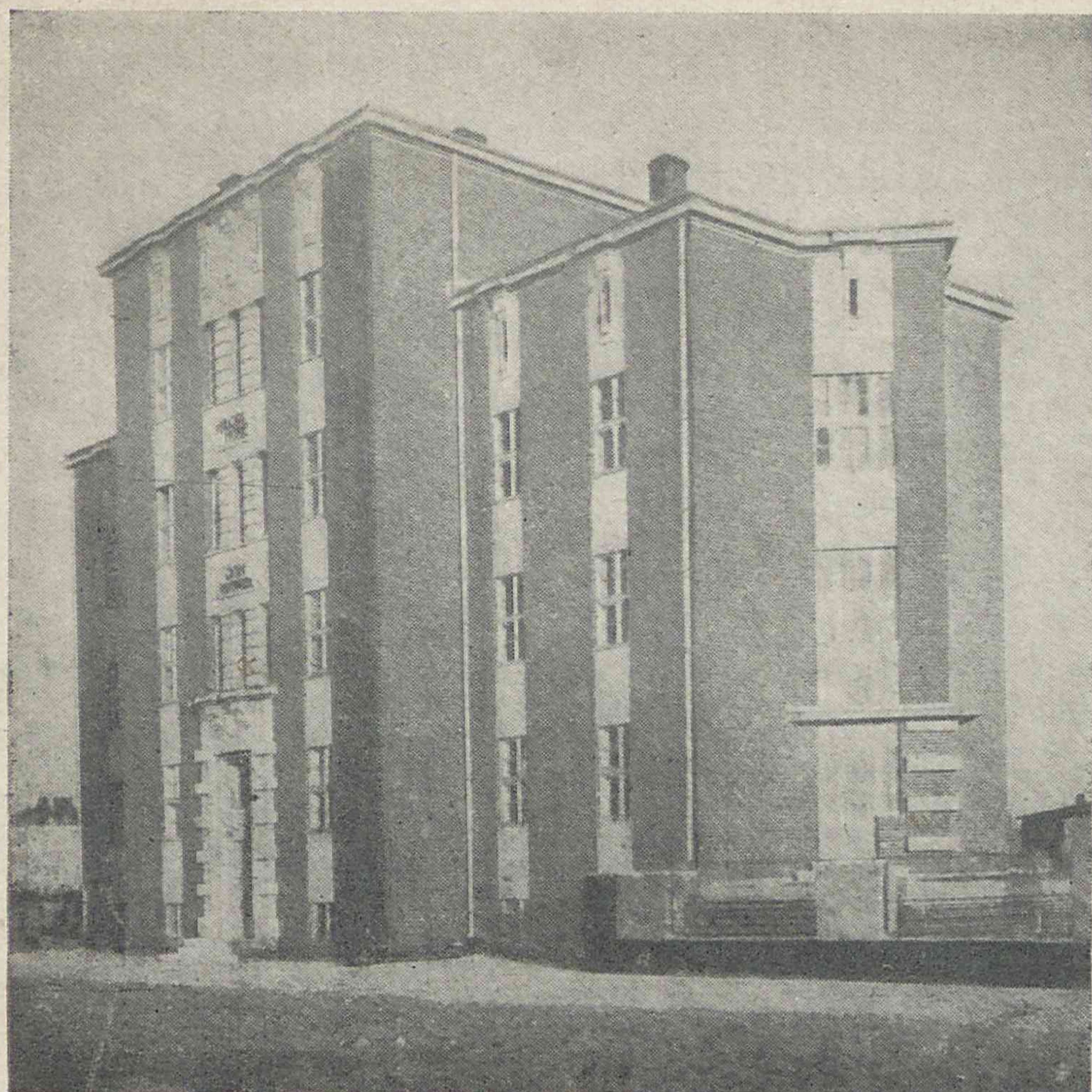
Przy wyświetlaniu filmu, proces ten powtarza się w odwrotnym kierunku: trzy źródła światła trzech zasadniczych kolorów; pryzmaty i lustra, ogniskujące obrazki w jednym punkcie. Białe plamy ożywają, na płótno pada blask słońca, czerwienią się żywe maki w błękitnym wazonie, lśnią jasne główki rozdokazywanych dzieci. Ekran pogłębił się, nabrał plastyki i życia.

Nasi konstruktorzy mają zamiar zaprezentować polski wynalazek całemu światu. Gdy tylko usunie się drobne usterki aparatu, powędruje do Chicago na wielką Wystawę Międzynarodową film, odsłaniający piękno naszego barwnego krajobrazu.

Niewątpliwie, Ameryka zainteresuje się nowym wynalazkiem, a jeśli magnaci z Hollywood dadzą dymisję „srebrnemu ekranowi", światem filmu wstrząśnie nowa rewolucja, może potężniejsza, niż przewrót dźwiękowy.

Kto wie, czy nie zgaśnie zabójcze dla pięknych oczu „gwiazd" światło jupiterów, gdyż zdjęcia barwne udają się znakomicie nawet wieczorem, i czy nie padnie nowe hasło: „precz ze szminką"? Wprawdzie zniknęłoby wtedy z filmowego horyzontu kilka podstarzałych „vamp'ów", lecz ogół młodziutkich Amerykanek miałby możność chlubić się przed światem złocistą opalenizną, zdobytą na kalifornijskiej plaży.

K. W. K.



DOM MARYNARZY W GDYNI,

wykończony ostatnio i oddany do użytku oficerów i marynarzy wszystkich narodowości, których choroba lub przypadek zapędziły do polskiego portu. Jest to kasyno towarzyskie międzynarodowej marynarki handlowej, składające się z sal klubowych, czytelni, pokoji sypialnych i t. p. Podstawę finansową budowy domu stanowiły 100.000 zł. ofiarowane przez Pol. Związek Cukrowników do dyspozycji min. Kwiatkowskiego, który sumę tą przeznaczył na budowę Domu Marynarza. Wielkie zasługi około wystawienia gmachu położył dyr. Żeglugi Polskiej inż. Juljan Rummel.

WSPÓŁCZESNE NIEMCY.



— Głośniej! Jeszcze głośniej! Niechaj dowiedzą się, że głos jednego żołnierza Reichswehry mocniejszy jest od 50 tysięcy cywilów!

Die Ente, Berlin.

Spotkanie przyjaciół u progu 1933 roku






— Mój drogi przyjacielu, powiedz mi, masz dużo kłopotów?

— Wcale nie!

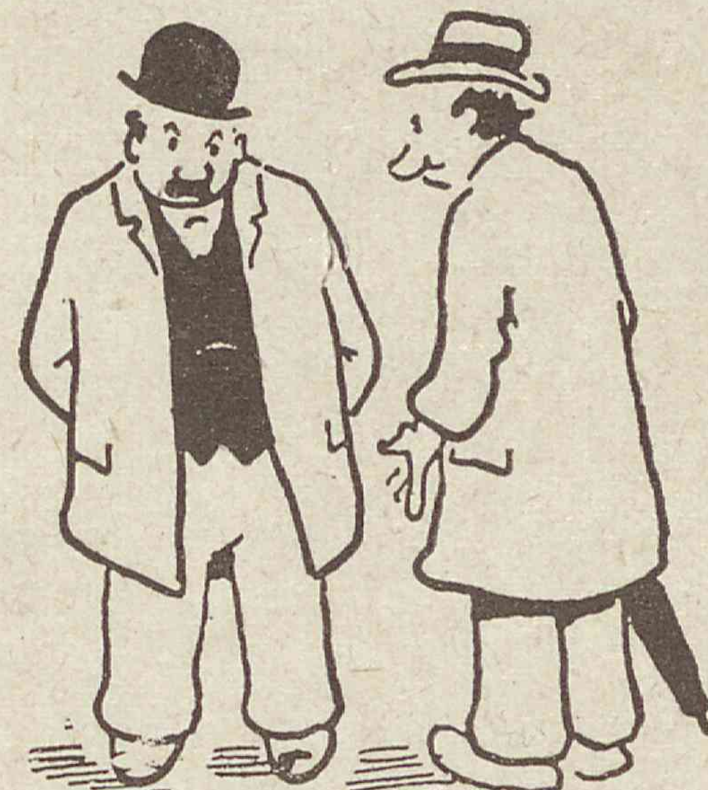
— Nie jesteś szczery! Powiedz staremu przyjacielowi, — interesa złe?

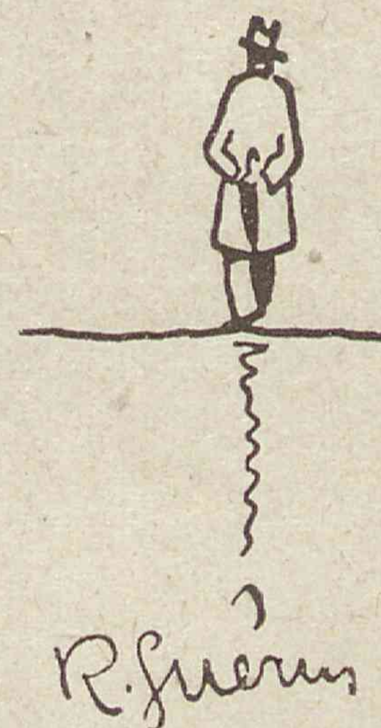
— Przeciwnie, nie mogę się skarżyć...

— Nie drwij sobie ze mnie, mój kochany. Jesteś blizki bankructwa.

— Nic podobnego. Idzie mi całkiem dobrze.







— Mój kochany. Nie ufasz mi, nie chcesz być szczery!...

— Kiedy naprawdę jestem całkiem zadowolony!...

— Zdrowie sprzyja mi, interesy rozwijają się pomyślnie.

— Biedny człowiek! Lada dzień będą musieli go zamknąć w Tworkach.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

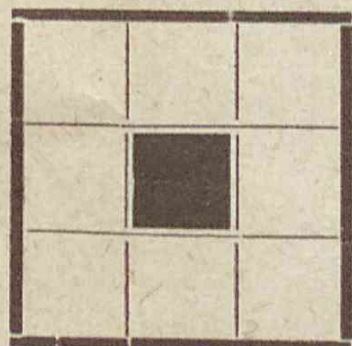
№ 82 (185). Układanka literowa

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Z następujących 36 liter ułożyć rozwiązanie: i - i - i - o - o - o - o - o - y - y - y - a - a - a - e - e - z - z - z - z - k - k - m - m - n - n - n - n - d - d - w - r - r - p - p - c -

№ 83 (186). Wirówka

(Za rozwiązanie 2 punkty).



W kwadraty wstawić po jednej sylabie, w ten sposób, aby powstały następujące wyrazy: 1. Pożyteczne i miłe zajęcie. 2. Dział biurowy. 3. Miejsca sprzedaży. 4. Konkurenci.

Humor teatralny

MIESZKANIE DO WYNAJĘCIA...

Jeden ze znanych zarówno z talentu, jak z zarozumiałości — dramaturgów francuskich przechodzi w towarzystwie Tristana Bernarda koło domu, gdzie świeżo wmurowano tablicę na pamiątkę, że mieszkał tam i tworzył jeden z wybitnych powieściopisarzy paryskich.

— Ciekawym, co napiszą na tablicy na domu, w którym teraz mieszkam, po mojej śmierci?

— „Mieszkanie do wynajęcia" — odpowiedział bez namysłu Tristan Bernard.

ŚWIAT W ROKU 1933

(28-y rok istnienia)

pod naczelnem kierownictwem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
Warszawa, Szpitalna 12, tel. 504-00, rach. P. K. O. 3.755

Po dokonanej 30% obniżce ceny „ŚWIAT" pozostaje jednem z najtańszych czasopism polskich i będzie w dalszym ciągu szedł drogą ulepszeń i przeobrażeń celem osiągnięcia możliwie najdoskonalszego typu nowoczesnego tygodnika społecznego, literackiego i artystycznego

Co tydzień najmniej 28 stron tekstu i ilustracji.

Co miesiąc — tom interesującej powieści.

W każdym zeszycie — kupon do Warsz. Teatrów Miejskich z 50% zniżki.

W „ŚWIECIE" Czytelnik znajdzie oświetlenie i objektywne omówienie wszystkich ważniejszych spraw i wydarzeń.

W „ŚWIECIE" znajdzie obfitą a skondensowaną lekturę: artykuły i feljetony najświetniejszych piór, opisy podróżnicze, nowele, ankiety, konkursy i t. p.

W „ŚWIECIE" znajdzie niewyczerpany zasób informacji i wiadomości, interesujących dla każdego kulturalnego umysłu.

W „ŚWIECIE" znajdzie bogaty, aktualny dział ilustracyjny.

Prenumerata miesięczna wynosi obecnie tylko Zł. 5.—
(z odnoszeniem do domu Zł. 5.50, na prowincji Zł. 6.—).

Nowoprzybywający Prenumeratorzy od Nowego Roku, wpłacający prenumeratę za kwartał z góry, mogą otrzymać numery „ŚWIATA" z grudnia 1932 r. bezpłatnie.

„ŚWIAT" WINIEN STALE ZNAJDOWAĆ SIĘ W KAŻDYM KULTURALNYM DOMU.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. Galewski i Dau, Warszawa.



P